

WIAS

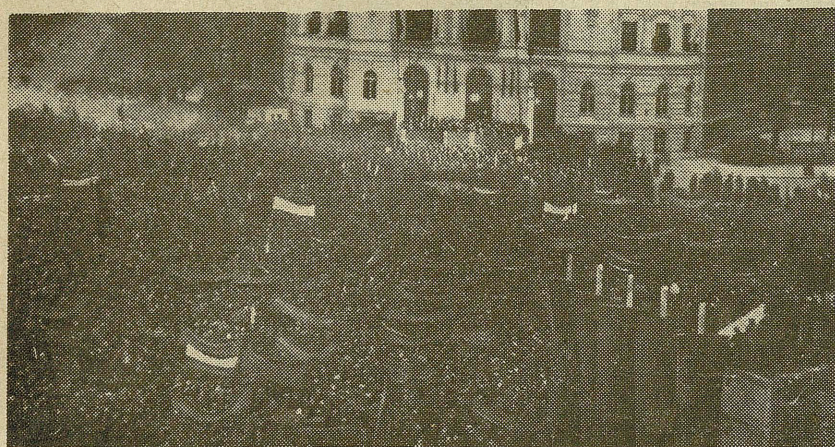
tygodnik społeczno-literacki

Witamy II Zjazd przodowniczkę narodu polskiego
Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej

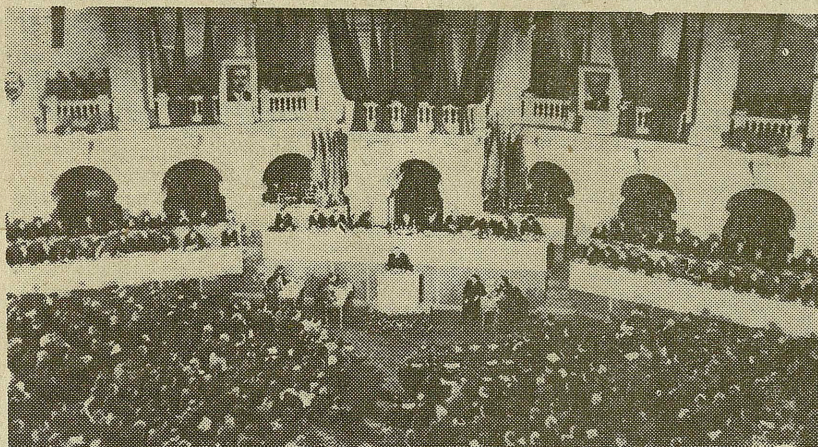
Rok XI

Warszawa, dnia 7 marca 1954 r.

Nr 10 (448)



Z obrad Kongresu Zjednoczeniowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.



Przemówienie Bolesława Bieruty witane manifestacyjnie przez ludność Warszawy.

EUGENIUSZ KUSZKO

W SOJUSZU ROBOTNICZO-CHŁOPSKIM

PRZEZ długie wieki myśl chłopska chodziła niby w kieracie. W kieracie odwiecznych przyzwyczaję i nawyków. Były oczywista światła jednostki, bohaterowie ludu wiejskiego, pionierzy chłopskiej oświaty, niestrudzeni bojownicy o lepszą dolę wsi polskiej, którzy porywali masy do walki, rozbudowali duszę chłopską do czynu i myślenia. Nie mały jest dorobek postępowej myśli chłopskiej. Ale dorobek ten dotyczy głównie, jeśli chodzi o przeszłość ruchu chłopskiego, zagadnień walki o wyzwolenie chłopów spod ucisku obywatelskiego oraz walki o wolność polityczną, niepodległość narodu, ustroju demokratycznego, niepodległości w gospodarce itp.

Natomiast w dziedzinie zasadniczej społecznej przebudowy gospodarki chłopskiej dopiero obecnie myśl chłopska nabiera rozmachu. Trzeba było bowiem niezmiernie głębokiego i silnego wstrząsu społecznego i politycznego, by szerokie masy na wsi zaczęły myśleć i rozważać nad tym, co zawsze dotychczas uchodziło za rzeczy same przez się zrozumiałe.

Postępujemy tego, co mówi się obecnie na zebraniach chłopskich, posłuchajmy niekiedy dyskusji chłopskich, posłuchajmy uważnie listy chłopskie, a od razu uderzy nas doniosły, niezbyt fakt: myśl chłopska, myśl nie jednostek, nie grup wiejskich, czy mniejszych, lecz szerokie masy, miliony, wzbiera niby potężna fala wiosennej powodzi.

Nie o to chodzi, że większość pracujących chłopów już obecnie usławiła sobie w całej pełni konieczność zasadniczych przemian w życiu naszej wsi. Sporo ludzi ma jeszcze różne wątpliwości i opory. Niemalże jest takich, którzy kurczowo trzymają się starych metod indywidualnego gospodarstwa. Byłoby zresztą dziwne, gdyby było inaczej. Przyzwyczajenie, jak powiada przysłowie, staje się drugą naturą człowieka, toteż nie tak łatwo człowiek zmienia swą naturę, swe upodobania, nawyki itd.

Chodzi jednak o to, że na ten temat zaczęto głęboko i szeroko rozmyślać. Nie ma rodzin chłopskich, która by tak czy inaczej nie dyskutowała, nie rozważała tego problemu. Formy tych dyskusji są najrozmaitsze. Wnioski również są różne. Ale myślą tym nie podobna już postawić żadnych tam. Będą one coraz silniejsze i im więcej przeszkód pokonają na swej drodze, tym potężniej się rozwijają.

A jest doprawdy o czym myśleć! Cały kraj stanął w obliczu niezwykle doniosłego problemu: wydajnie podnieść w możliwie jak najkrótszym czasie poziom produkcji rolnej! Od tego zależy wzrost stopy życiowej ludności, dalszy rozwój przemysłu, a zwłaszcza na danym etapie przemysłu lekkiego i spożywczego.

W jaki zaś sposób podnieść wydajność i to w krótkim czasie podnieść na wyższy poziom produkcję rolną?

Można to uczynić przez jednoczesny wzrost produkcji zarówno spółdzielni produkcyjnych (nie mówiąc już o PGR-ach) jak i wzrost wydajności indywidualnych gospodarstw chłopskich (głównie średniackich).

I tu właśnie stajemy w obliczu najważniejszej kwestii, która słusznie przyciąga uwagę szerokich mas chłopskich.

Jak pogodzić ze sobą dwie tak różne rzeczy, jak rozwój spółdzielni produkcyjnych i wzrost produkcji indywidualnych gospodarstw mało- i średnioludnych?

Bo jeśli rozwijać się ma i krzepnąć spółdzielczość produkcyjna na wsi, to czy indywidualna gospodarka chłopska jest zainteresowana w czynieniu inwestycji, w zwiększaniu swej wydajności?

Tak brzmi pierwsza wątpliwość.

Druga wątpliwość jest podobnej natury. Można ją sformułować w następujący sposób: jeśli rozwijać się indywidualna gospodarka średniacka, czyli innymi słowy: jeśli średniakowi powodzi się coraz lepiej, to zmniejszają się rzekomo bodźce, które mogą skłonić go do wstąpienia do spółdzielni produkcyjnej. Średniak, któremu się dobrze powodzi, nie będzie miał żadnej ochoty do wstąpienia w szeregi członków spółdzielni produkcyjnej — twierdzą zwolennicy tego poglądu.

Oczywista, że nie mają racji. Ale trzeba im to udowodnić. Trzeba przekonać. I to jest sedno problemu.

Wielkim dorobkiem IX Plenum KC PZPR jest jasne i dobitne sformułowanie i rozwinięcie tego zagadnienia. Rozbite w r. 1948 odchylenie prawicowe głosiło między innymi, że spółdzielczość produkcyjna na wsi stanowi czynnik szkody dla rozwoju produkcji indywidualnych gospodarstw chłopskich, że wkrócenie na tory spółdzielczości produkcyjnej doprowadzi do upadku produkcji indywidualnych gospodarstw, zanim jeszcze spółdzielnie będą w stanie zastąpić pro-

dukcję gospodarstw indywidualnych. Teoria ta całkowicie odpowiada interesom kulackim.

Teoria „lewacka” jest rodzoną siostrzą teorii prawicowej. Ona również upatruje niemożliwość do rozwikłania konfliktu między rozwojem spółdzielni produkcyjnych a wzrostem wydajności indywidualnych gospodarstw średniackich. Albo jedno, albo drugie! Zdaniem zwolenników tej teorii, średniak tylko wtedy będzie skłonny do przystąpienia do spółdzielni produkcyjnej, gdy trudno mu będzie prowadzić gospodarkę indywidualną, gdy będzie mu się powodziło coraz gorzej, gdy nie będzie mógł zaspokajać swych potrzeb gospodarskich, nabywać artykułów przemysłowych, niezbędnych w gospodarce itp.

Przedziwna to „logika”!

Na to nam niektórzy odpowiedzą: zgoda, nie można przeciwstawiać jednego drugiemu, rozwoju spółdzielni produkcyjnych wzrostowi produkcji gospodarstw indywidualnych. Ale w dalszym ciągu nie rozumiemy, co może skłonić średniaka, któremu dzięki pomocy państwa powodzi się będzie w indywidualnym gospodarstwie coraz lepiej, do wstąpienia do spółdzielni produkcyjnej?

Doszlisiśmy tutaj do sedna sprawy.

W jaki sposób małorolny i średnioludny, gospodarujący indywidualnie, może w naszych konkretnych warunkach społeczno-politycznych zwiększać swoją produkcję zbożową, hodowlę bydła, nierogacizny itp.? Czy może się to odbywać jako proces całkowicie żywiołowy, samorzutny, zależny wyłącznie od inicjatywy, przedsiębiorczości i środków każdego chłopca? Czy może się to odbywać bez pomocy POMO-ów i GOM-ów, bez takich czy innych kredytów państwowych, bez dostarczania po wydatnie obniżonych cenach maszyn rolniczych, bez dostarczania przez państwo nawozów sztucznych, bez lepszego zaopatrzenia wsi w różnorodne artykuły przemysłowe, gospodarskie, w budulec itd. Czy wreszcie może się to odbywać bez pomocy agronomów, zootechników?

Oczywista, że nie. Ale nie w tym rzecz, by pomniejszać osobistą inicjatywę lub przedsiębiorczość chłopów i wszystko zwać na pomoc państwową. Takie stanowisko byłoby zupełnie błędne i szkodliwe. Inicjatywa, osobisty wysiłek chłopca — to rzecz bardzo ważna. Jednakże ta inicjatywa, wysiłek, przedsiębiorczość muszą się zapaść z szeroko i wydajną pomocą ze strony państwa, czyli ze strony klasy robotniczej.

Jeżeli średniak będzie podnosił wydajność swej gospodarki indywidualnej, wyłącznie w drodze żywiołowego rozwoju tej gospodarki, to mamy typowy obraz kapitalistycznego rozwoju gospodarki chłopskiej. Na taki rozwój w naszych warunkach nie stawiamy. Jeśli natomiast średniak będzie podnosił wydajność swej gospodarki dzięki temu, że maszyny socjalistycznych przedsiębiorstw na wsi przyjdą mu z pomocą oraz dzięki temu, że socjalistyczne metody zmechanizowanej i naukowej uprawy roli znajdą w jego

gospodarce chociażby częściowe, chociażby minimalne zastosowanie (całkowite zastosowanie tych metod, jak wiadomo, może nastąpić dopiero w zespole gospodarce spółdzielczej), a wreszcie jeśli wydajność gospodarki średniackiej będzie wzrastała dzięki temu, że socjalistyczny przemysł będzie lepiej zaspokajał potrzeby gospodarce chłopca zarówno w zakresie inwentarza, jak i niezbędnych artykułów przemysłowych, to wówczas mamy specyficzny wzrost wydajności gospodarstw indywidualnych. Wzrost taki jest oparty na pomocy klasy robotniczej, na pomocy gospodarki socjalistycznej; taki więc wzrost nie oddala, lecz zbliża do spółdzielni produkcyjnej. I tylko o taki wzrost produkcji gospodarstw indywidualnych należy walczyć.

A zatem już w swej własnej indywidualnej gospodarce chłop średnioludny może naocznie się przekonać o wyższości zmechanizowanej, naukowej uprawy roli.

Czy trudno zrozumieć, jaka siła skłania go, nie przysusem, lecz dobrowolnie, w loży ruchu spółdzielczego, nawet wtedy, gdy mu się będzie nieźle wiodło w gospodarce indywidualnej?

Odpowiedź jest prosta. Sami chłopcy w swych listach, w swych wypowiedziach ją dają.

Tę siłą są wyższe dochody, wyższa stopa życiowa w spółdzielniach produkcyjnych, pełny rozwój życia kulturalnego.

Ludowe przysłowie powiada: „Ryba dąży tam, gdzie głębiej, a człowiek tam, gdzie lepiej”.

Coraz wyższa jest dniówka obrachunkowa w dobrze gospodarujących spółdzielniach produkcyjnych. Wielu członków spółdzielni otrzymało w ubiegłym roku przeszło 40 q zboża, 80 — 100 q ziemniaków, nie licząc innych rzeczy (siana itd.) oraz oprócz zboża około 2000 — 3000 zł. To są dane raczej przeciętne. W niektórych bowiem spółdzielniach jak np. w Ostrozie (woj. szczeciński) — a takich spółdzielni jest niemało — są członkowie, którzy otrzymali prócz po każdej ilości zboża, ziemniaków i paszy — 9000 — 10000 zł.

Żyjemy w takich czasach, w takim ustroju, gdzie losy i dobrobyt jednostki nierozdzielnie związane są z losami i dobrobytem całego społeczeństwa. Cały naród nasz podejmuje dziś nie słychanie ważną, posiadającą ogromne historyczne znaczenie walkę o radykalne przyspieszenie wzrostu stopy życiowej szerokiej masy. Jest to obecnie główne ogniwo w łańcuchu naszych zadań.

Szybkie i wydajne podniesienie stopy życiowej oznacza przewyższenie nadmiernej rozpiętości między rozwojem przemysłu i rolnictwa oraz rozwojem poszczególnych dziedzin przemysłu, czyli oznacza przewyższenie głównej przeszkody na drodze dalszego szybkiego rozwoju całej gospodarki.

Szybkie i wydajne podniesienie stopy życiowej w krajach obozu socjalistycznego stanowi niezwykle ważny czynnik przyspieszający rozkład i upadek kapitalizmu. Im szybciej bowiem będzie wzrastała stopa życiowa w krajach obozu socjalistycznego, tym szybciej odbywać się będzie proces skupiania się najszybszych mas w krajach kapitalistycznych pod sztandarem socjalizmu. A to znaczy, że wzrastać będzie siła, która pragnie pokojowej, a nie wojennej walki i rywalizacji dwóch systemów.

Jak więc widzi problem stopy życiowej, to obecnie klucz do rozwiązania wszystkich innych zagadnień: zagadnienia dalszej zwycięskiej walki o pokój, zagadnienia likwidacji nadmiernej dysproporcji między przemysłem a rolnictwem, zagadnienia dalszego szybkiego rozwoju wszystkich gałęzi przemysłu, zagadnienia pokojowej walki i rywalizacji ze światem kapitalistycznym, zagadnienia dalszej radykalizacji mas ludowych w krajach kapitalistycznych.

A problem stopy życiowej jest nieodłączny od dalszego rozwoju i pogłębiania sojuszu robotniczo — chłopskiego.

Robotnicy podejmują uroczyste zobowiązania przedzjazdowe, aby lepiej zaopatrzyć wieś w artykuły przemysłowe i nowoczesną technikę. Chłopi pracujący ze swej strony podejmują zobowiązania, aby lepiej zaopatrzyć miasto w artykuły zbożowe, hodowlane, surowce. Jedno zależy od drugiego.

Bez sojuszu z klasą robotniczą bez pomocy kierownictwa ideowego klasy robotniczej, nie jest możliwe podniesienie wydajności gospodarki rolnej. Bez pomocy pracujących chłopstwa, bez artykułów rolnych nie jest możliwy rozwój przemysłu.

Zacieśnianie węzłów braterskiej przyjaźni robotnika i chłopca — to klucz do rozwiązania najważniejszych problemów. To między

(Dokończenie na str. 2)

KAZIMIERZ DĘBNICKI

Słowo komunistów

JESTESMY narodem nieskłonym wierzyć na słowo. Obiecywali carowie rozkвіт ziemi polskiej — dali kazamaty, nędzę, knut i kibitki. Obiecywali polscy ministrowie w latach 1918—1939 i dobrobyt, i siłę, i mocarstwo. Dali klęskę. Obiecywał Rydz-Śmigły nie „oddąć ani guzika”... Oddał wszystko Hitlerowi.

Obiecywał pan generał gubernator Hans Frank „rozciągnąć opiekę nad narodem polskim w imieniu III Rzeszy”. Opieką był... Oświęcim. Przysięgał Hitler i jego dygnitarze, że Polska nie będzie, że Warszawa to tylko „geograficzne pojęcie”. A spojrzcie na morze nowych gmachów, na gwarne ulice, na odbudowane wieże kościołów, na strzelające w niebo — wieżowce. „Geograficzne pojęcie” — tętni życiem, pracą, zapalem, nieznanym w kraju, rządzonego przez następców Hitlera, w kraju sztucznie od całosci Niemiec oderwanym.

Nic dziwnego, że nie łatwo nam wierzyć w słowa. I te głoszące nasze nadzieje i te przekraczające nasze ambicje. Doświadczenie historyczne nauczyło naród polski, że słowo łatwo staje się obietnicą. A w obietnicach przywykliśmy nie wierzyć. I w te wieszczące szczęście, i w te butne, wrogie zapowiadające nam klęskę.

Doświadczenie historyczne nauczyło naród polski patrzeć na fakty i oceniania słów wg konkretnych faktów. Nauczycie odróżniać obietnicę od obietnicy.

W 1944 padły słowa głoszące: ziemia chłopom, fabryki na własność narodu, nauka, oświata i kultura własnością ludu, wyszysk człowiek przez człowieka zostanie zniesiony.

I oczywiście nie miało być w społeczeństwie ludzi, nie rozumiejących, że słowa komunistów — to nie obietnica, że słowa komunistów — toteż wiążące obietnicę. Wielu było takich, którzy wykorzystując wrodożną od lat nieufność narodu w oparciu o długą tradycję antyradykalnej propagandy, usiłovali nastroje narodu psuć, usilovali nie dopuścić do stworzenia się w narodzie wiary w słowo komunistów.

Ale już przedtem, w noc sylwestrową, rozpoczynając wielki w historii naszego narodu rok 1944 — padły inne słowa, poprzedzające tamte, lipcowe.

Słowa o przyjaźni i sojuszu ze Związkiem Radzieckim, słowa o wspólnej, żołnierskiej walce, słowa głoszące pewnością zwycięstwa radzieckiego nad niemieckim faszyzmem.

I mógł naród polski ocenić słowa komunistów na zasadzie pełnego w rzeczywistości zapewnienia danych przez Krajową Radę Narodową walczącym z okupantem ludowi.

Dziś, wkraczając w dziesięciolecie Polski Ludowej, zdajemy sobie w pełni sprawę, że z nieludzką zniszczonego kraju i obciążonego spuścizną wiekowego zacofania gospodarczego — staliśmy się w ciągu niewiele lat europejską potęgą gospodarczą. 5 miejsce w Europie oznacza, że przed nami są tylko ZSRR, Anglia, Niemcy i Francja, którą zresztą już doganiamy, a niedługo przegoniemy. 5 miejsce w Europie oznacza, że przegoniłmy takie potencjalne przemysłowe, o dawnych tradycjach — jak Włochy i Szwecja, Belgia i Holandia, Szwajcaria i Czechosłowacja, która zresztą także w szybkim tempie rozwija swą narodową gospodarkę.

A przecież nie o innego obiecywało słowo komunistów dane 9 lat temu. Słowo wiążące obietnicę — nie czczych obietnic.

Można zapytać na czym więc polega to, że komuniści dotrzymują słowa, że ich obietnice są realizowane?

Odpowiedź jest prosta: komuniści obiecyują rzeczy zgodne z interesem narodem, program komunistów jest zgodny z ambicjami narodu, a nade wszystko opiera się na zrozumieniu praw działających w świecie, praw gospodarczego i społecznego rozwoju, a jednocześnie na polityce sojuszu i przyjaźni z narodami tworzącymi ten sam ład. Dzięki temu słowo komunistów ma oparcie w ludzkim entuzjzmie, który kierowany mądrze i celowo przez partię jest najcenniejszym kapitałem, największym narodem w Europie. On to wznosił z ruin Warszawy, Gdańsk, Szczecin, Wrocław, on zasiedlił stare polskie ziemie Zachodnie, on zbudował potężny przemysł, światło elektryczne rzucił tysiącom, światem, pełną przód produkcję rolną, rozwinął szkolnictwo, wzbogacił naukę i sztukę narodową.

Słowo komunistów, przyobleczone w plan gospodarczy, realizowane jest przez cały naród. I w tym tkwi tajemnica sukcesów, tajemnica „dotrzymywania słowa”, źródło realności obietnic. Setki tysięcy, miliony chłopów, dzieci, studujące po raz pierwszy w historii Polski na wszystkich szczeblach oświaty i nauki, są wymownym dowodem żelaznej komunistycznej konsekwencji. Konsekwencji danego narodu — słowa.

Oczywiście cudotwórców na świecie nie ma. I komuniści bynajmniej nie pretendują do roli cudotwórców. Cuda tworzą ludzie, którzy nie są magikami, którzy muszą się liczyć i z możliwością omyłki, błędów i z możliwością gwałtownych zmian w sytuacji, w jakiej żyją i pracują, zmianą wpływających na ich plany, zamierzenia i obietnice.

Któż mógł na przykład przewidzieć, że w roku 1950 imperialiści amerykańscy rozpoczną wojnę na Korei? Któż mógł przewidzieć, że trzy kolejne lata w Polsce przyniosą nieurodzaje, susze, że warunki klimatyczne?

Jasnowidzami nie jesteśmy. I wcale nie chcemy być!

Ale jeśli ktoś zaczyna wymachiwać pięścią, to prostym ludzkiem obowiązkiem jest udowodnić mu, że powinien się uspokoić. Na to trzeba, rzecz prosta, mieć siłę i poczuć własną moc. W 1950 r. amerykańscy meowowie stanu zaczęli lekomyślnie wymachiwać pięścią. W 1953 r. ich klęska na Korei stała się oczywista, musieli zawrócić rozejm. W 1950 r. amerykańscy politycy zapewniali o możliwościach rozbicia ZSRR, Polski i innych państw Obozu Pokoju. W 1954 r. kiedy stało się jasne, że i pod względem atomowych i wodorowych przygotowań obóz pokoju nie pozostaje w tyle, kiedy olbrzymi wysiłek produkcyjny naszych państw dał w wyniku wielką siłę obronną — acz niechętnie — muszą się zgodzić politycy z Waszyngtonu na pokojowe rozmowy z ZSRR.

W 1950 r. amerykańscy przywódcy latwo zmusili Francję do układow z Adenauerm; w 1954 — większość parlamentu Francji — układow tych nie chce ratyfikować. Dodajmy, że w 1954 r. nawet Churchill wyzywa do pokojowego rozwiązania spornych kwestii, a w kraju w którym do niedawna rządzili wernigug imperializmu, de Gasperi, we Włoszech, siły lewicowe przekształły w wyborach plany amerykańskie.

Tak więc przez 4 lata zaszły poważne zmiany w sytuacji światowej, następuje powoli uspokojenie, okiełznanie imperialistycznych temperamentów.

Kto by sądził, że humor imperialistów zależny jest od klótni z żoną, albo ataku wątroby — błędziłby. Na zmianę imperialistycznych humorów — wpływają fakty. Komuniści polscy obiecali narodowi: wreszcie 1939 r. nie powtórzy się nigdy.

Spełniona jest ta obietnica. Polska stała się silnym krajem. I to jest także jeden z faktów, z którymi imperialiści muszą się liczyć. A jest ich dużo — od Łaby do Oceanu Spokojnego.

I teraz, jeśli ktoś chce zapytać czemu nie wszystko jeszcze z zamierzem rządu i partii, ogłoszonych w r. 1949 na okres 6-letni zostało zrealizowane, szczególnie jeśli chodzi o stopę życiową obywateli, czy o rozwój rolnictwa — odpowiedź jest jasna: mając do wyboru realizację obietnicy, że wreszcie 1939 r. nie powtórzy się nigdy i realizację planów wzrostu osobistego dobrobytu obywateli w tempie ustalonym w r. 1949 — zrealizowano w pełni, całkowicie tę pierwszą, gwarantującą dalszy rozwój gospodarki narodowej.

Bowiem byłoby niewybaczalnym przestępstwem nie zapewnić krajowi takiej siły gospodarczej, takiej mocy przemysłowej, które by nie gwarantowały jego obronności i bezpieczeństwa, nie gwarantowały pokoju jego twórczej pracy. Jasne, że w każdym zresztą warunkach, w innym tylko tempie, zasada pierwszeństwa rozbudowy przemysłu ciężkiego jest obowiązująca. W tej dziedzinie bez jasnowidzenia, bez czarodziejstwa — stworzono cuda. Można je wymierzyć liczbą rocznej produkcji traktorów, samochodów, statków morskich, maszyn, cementu, cyfrą jednostek mocy energetycznych, setkami kilometrów dróg i torów, dziesiątkami tysięcy izb mieszkalnych, tysiącami nowych szkół, świetlic, ambulatoriów, szpitali i izb porodowych, bo i te bynajmniej nie przemysłowe

(Dokończenie na str. 2)

LEOPOLD LEWIN

POD SZTANDARAMI PARTII

piosenka

Plomienia walki w nas tyran nie zgasił,
W piersiach nie stłumił ognia ofiarności —
Od lat ginęli bojownicy nasi
Dla Polski — naszej i waszej wolności.

W strajku, na wiecu, w celi więziennej
Zaciągaliśmy warty,
Aby wywalczyli wolność promienną —
Pod sztandarami Partii.

Obroncy ludu, żołnierze-gwardziści
Życiem swym nasze życie okupili —
Miłością płonąc, żarem nienawiści
O naszą przyszłość ofiarnie walczyli!

W lesie i w jarze, i na rozstaju
Zaciągaliśmy warty,
By niepodległość zdobyć dla kraju —
Pod sztandarami Partii.

Z przedszkoli płyną piosenki i śmiechy,
Ziemia ożyła, dymią już kominy,
Na nowych domach zakwitają wiechy
I w Nowych Hutach śpiewają maszyny.

Na rusztowaniu, w hali fabrycznej
Zaciągaliśmy warty:
Dom budujemy socjalistyczny —
Pod sztandarami Partii.

SŁOWO KOMUNISTÓW

(Dokończenie ze str. 1.)

obiekty od rozbudowy bazy przemysłowej zależą.

A kiedy mamy fundamenty — możemy powiedzieć: spełniłyśmy podstawowe obowiązki, możemy zacząć spełniać i inne, a wśród nich realizować szybszy wzrost dobrobytu ludzi pracy.

Oczywiście, że kiedy wysiłek Partii, rządu i narodu skoncentrowany jest w jednym kierunku, nie trudno o błędy, o zaniedbania, o przegięcia na innych odcinkach. Ludzie są ludźmi i choćby najstuszej nie były posunięcia ogólne, w terenie nierazko, przy skupieniu uwagi na jednej, głównej sprawie — zapomina się, zaniedbuje inne. Podobne zjawiska mieliśmy w sprawach rolnictwa. Tego rolnictwa, którego wzrost wydajności w ciągu 4 lat wyniósł tylko 9 proc.

Nie byłoby, rzecz jasna, takiej napiętej sytuacji, gdyby nie 3 lata kolejnych złyh warunków klimatycznych, odbijających się na stanie urodzajów.

Ale i tu można by sobie zadać pytanie, jakże się tak stało, że mimo poważnych nieurodzajów na wielu terenach, mimo wolniejszego tempa rozwoju rolnictwa, mimo nierównego tempa wzrostu stopy życiowej — Polska nie stała ani przez moment w obliczu jakiegokolwiek kryzysu żywnościowego? A przecież w krajach kapitalistycznych głód jest zjawiskiem częstym, a nawet w wielu wypadkach stałym.

I oto wartości ustroju demokratycznej ludowej, wartości planowej gospodarki, wartości państwa budującego socjalizm i opartego, powiązanego silnymi więzami gospodarczymi z ZSRR i innymi krajami — sprawiają, że nawet przy czasowych trudnościach spowodowanych klimatem i sytuacją światową — kraj, rządzący przez lud, kierowany przez robotniczą Partię nie jest narażony na głód i niedostatek żywności. A przyczyną tego jest realizacja polityki gospodarczej przez burżuazję.

Ale oznacza to, oczywiście, konieczność pewnych wyrzeczeń, konieczność zwiększenia wysiłków ludzkich. I kiedy wysiłki te likwidują trudności, kiedy wyprzedzają z nich kraj i naród — jest czas, żeby powiedzieć: — zrealizowaliśmy podstawowe nasze obowiązki, będziemy realizować dalsze zwycięstwa, wydajniej, by pokonawszy dotychczasowe trudności, pchnąć naprzód szybciej sprawę ludzkiego dobrobytu — główną obecnie sprawę. To jest — pchnąć także naszą produkcję rolną, powziąć podstawę żywnościową narodu i powziąć bazę surowcową naszego przemysłu spożywczo, lekkiego, chemicznego.

Jest spokojniej wokół nas — dzięki naszej pracy, dzięki realizacji stowa, danego przez komunistów narodom, jest lepiej u nas, jesteśmy silni gospodarczo, na mocnych fundamentach przemysłu opiera się gmach Ojczyzny — możemy się bić o to, co na najbliższe dwa lata zapowiedziały Tezy. A przede wszystkim o postęp w rolnictwie. Bić się — to znaczy lepiej i mądrzej pracować, umocnić naszą pracę, udoskonalić jej metody, demaskować urogi i ograniczać kulaków, wzmacniać braterstwo ludzi z fabryk i ludzi z pól uprawnych, budować mocną gospodarkę chłopską i rozszerzać jej socjalistyczne, spółdzielcze formy, gnać przez sabotażystów, biurokratów, przekonywać nieufnych, uczyć starych, zwalczać wszystkich, którzy chłopskiej pracy chciałby przeszkodzić.

I to jest sprawa nie tylko obywateli danych przez Partię i rząd. To jest sprawa wielkiej obywateli, którą sobie nawzajem dajemy. Słowem komunistów jest bowiem słowem całego narodu. Stąd jego siła, jego realność — stąd gwarancja jego spełnienia. Spełnienia przez nas, wspólną pracę w najlepszych możliwych warunkach — stworzonych przez ludową Ojczyznę.

Kazimierz Debnicki

W sojuszu

(Dokończenie ze str. 1.)

innymi środkiem do przewycięcia kulackiego sabotażu, wrogiej propagandy, pragnącej odciągnąć chłopstwo pracujące od jedynych dróg rozwoju i rozwoju wsi polskiej.

Problem dalszego rozwoju wsi, problem dalszego umocnienia i rozwijania sojuszu robotniczo-chłopskiego to jedna z najważniejszych spraw, którymi się będzie zajmował II Zjazd PZPR.

Sojusz robotniczo-chłopski na obecnym etapie wymaga głębokich przeobrażeń w życiu duchowym wsi, w kulturalnym rozwoju mas chłopskich.

Istnieją różne formy i dziedziny życia kulturalnego, różne strony i przejawy kultury. Ale jedną z najważniejszych rzeczy pod tym względem jest kultura myślenia. Powiedzmy dokładniej: socjalistyczna kultura myślenia. Wszystkie formy myślenia, jakie stworzyły przedsocjalistyczne epoki dziejowe, antyczna, feudalna, kapitalistyczna były skrepowane bardziej lub mniej ograniczonymi widnokręgiem, ciasnym horyzontem klasowym. Myśl socjalistyczna zrywa pęta wszelkich ograniczeń, nie lęka się żadnych przeszkód, żadnych trudności, nie boi się żadnej krytyki, nie uchyli się od wyjaśniania żadnych spraw, żadnych wątpliwości.

Niechże więc ta nowa, potężna, promienna myśl socjalizmu toruje polskiemu chłopu drogę ku lepszej doli.

Eugeniusz Kusko

TADEUSZ ZIELIŃSKI

HANDEL I POKÓJ

STATNIO w którejś z gazet angielskich natrafiłszy na charakterystyczny pod pewnym względem list jednej Angielki. Zapytywała ona z niepokojem, w jaki sposób zamierza rząd brytyjski uchronić gospodarkę Anglii przed następstwami zbliżającego się w USA kryzysu. Kraj nasz — pisze korespondentka — nie ma wielu surowców, a rolnictwo nie jest w stanie zaspokoić potrzeb ludności. Aby żyć, musimy sprowadzać wiele towarów z zagranicy. Po to jednak, by rozwijać się import, musimy eksportować. Co więc będzie, jeżeli nasz eksport zacznie się kurczyć, ponieważ inne kraje, objęte kryzysem, nie zechcą u nas kupować? Czy możemy nadal liczyć na nasze kolonie i dominia? — zapytuje owa czytelniczka i stwierdza z troską: — Przecież w Kenii i na Malajach prowadzimy wojnę z tymi, którzy mogliby z nami handlować. Nie chcę z nami pertraktować w Egipcie i w Indiach, ponieważ nie spłaciłmy jeszcze starych długów z ostatniej wojny.

CZY MOŻNA ŻYĆ BEZ POWIETRZA?

Wydaje się, iż podobne obawy podziela na zachodzie wiele innych osób. Nie tylko w Anglii, ale i w całym świecie kapitalistycznym sprawy te zaprzają umysły setek i tysięcy burżuazyjnych polityków, ekonomistów i handlowców. Ogólny spadek obrotów, wywołany zaostroszoną konkurencją na rynkach zbytu, rujnujące tempo zbrojeń i ostatnie sygnały zbliżającego się w USA kryzysu — oto fakty, które z nieubłagana logiką wskazują im, że na dalszy rozwój handlu pomiędzy krajami kapitalistycznymi nie można już liczyć. Ale jak to zwrócić uwagę, francuski dziennik „Libération”, „istnieć bez handlu — to znaczy żyć bez powietrza”. Jeżeli więc rynek kapitalistyczny stał się za ciasny, jeżeli kraje, które na nim występują — raz po raz duszą się w walce o zbyt swoich towarów — coraz więcej oczu zwraca się na wschód, tam gdzie istnieje i rozwija drugi rynek, obejmujący jedną trzecią ludności całego świata. Nie ma dosłownie dnia, aby na łamach prasy kapitalistycznej nie znalazły się najrozmaitsze głosy i wypowiedzi, wzywające do normalizacji handlu międzynarodowego, do zerwania z waszyngtońską polityką zakazów i restrykcji w stosunku do handlu z krajami socjalistycznymi, do rozszerzenia z nimi stosunków handlowych. Jednocześnie w wielu krajach kucpy i przemysłowcy, a czasem nawet same organizacje rządowe, coraz częściej omijają narzucone przez USA zakazy, zawierając z przedstawicielami krajów demokratycznych transakcje na dostawy różnych towarów, niekiedy nawet takich, które Amerykanie podciągnęli pod pojęcie „strategicznych”.

ŻYCIE JEST SILNIEJSZE

Życie jest silniejsze od sztucznych zakazów. Wymogi handlu i interesu nie znają granic również w samych Stanach Zjednoczonych. Nie ma darmo donosi zazdrośnie jedna z agencji zachodnich, że w Pekinie można dziś zobaczyć na ulicy o wiele więcej najnowszych typów samochodów amerykańskich aniżeli starych angielskich wozów sprzed wojny.

Handel jest pierwszą, czasem jedyną nicią kontaktu między dawnymi przeciwnikami czy przeciwnymi obozami. Wystarczy wspo-

mnąć tu o zawartej ostatnio umowie pomiędzy Niemiecką Republiką Demokratyczną a Niemcami zachodnimi jak również o podpisaniu na jesieni w Pekinie układzie japońsko-chińskim. Niemal każdy dzień przynosi komunikaty o przełamywaniu barier i uprzedzeń. Oto kilka przykładów z bieżącego miesiąca. W lutym zawarte zostało m. in. porozumienie między Austrią a Czechosłowacją, Egiptem a Rumunią, Rumunią a Niemcami zachodnimi, Niemcami zachodnimi a Węgrami itd. Niemiecka Republika Demokratyczna rozszerzyła znacznie swą wymianę gospodarczą, zawierając umowy z krajami skandynawskimi oraz z Egiptem.

FAKTY DLA TRZEŻWYCH

Wszystko to nie znaczy, oczywiście, że handel krajów kapitalistycznych ze Wschodem osiągnął już pełne obroty. Wymiana między Wschodem i Zachodem stanowi ciągle jeszcze znikomą ułamek tych możliwości, które przedstawia sobą rynek socjalistyczny. W latach 1929—33 Związek Radziecki kupował np. w Wielkiej Brytanii maszyn i urządzeń inwestycyjnych w takich ilościach, że tylko dzięki nim — jak przyznaje dziś prasa kapitalistyczna — wiele gałęzi przemysłu angielskiego wyszło wówczas obroną ręką z kryzysu i uniknęło załamania gospodarczego. Od tego czasu minęło ponad 20 lat. Produkcja Związku Radzieckiego wzrosła więcej niż 20-krotnie, a w Chinach, Polsce i w innych krajach obozu pokoju uprzemysłowienie poważnie zwiększyło ich możliwości handlowe. Dziś, kiedy nad światem kapitalistycznym wisi znówu groźba kryzysu gospodarczego, niewyzerpane możliwości, jakie stwarza dla handlu międzynarodowego rynek socjalistyczny, przemawiają do każdego, kto trzeźwo ocenia obecny stosunek sił ekonomicznych na świecie.



SPRAWY PRZYJACIOŁ

OSWIATA

42 miliony Chinczyków uczy się obecnie w wielkich szkołach wieczornych dla dorosłych. Program nauczania w zasadzie obejmuje te same przedmioty, co w normalnych szkołach, z tym że przerabia się je w skróconych terminach. Nauka prowadzona jest od podstaw, bo uczniowie w przeważającej części — to byli analfabeci. Jest to ponura spuścizna po rządach Kuomintangu, kiedy ilość szkół wielkich była piętnastokrotnie mniejsza niż obecnie. Ale nawet i do istniejących wówczas szkół dostęp miał jedynie dzieci najbogatych chłopów. Dlatego też większość wieśniaków chińskich przez całe życie pozostawała analfabetami.

Dziś władza ludowa uważa za jeden ze swych głównych obowiązków powszechną oświatę. Do szkół podstawowych uczęszcza obecnie 27 milionów uczniów. Coraz więcej młodzieży wielkiej trafia na wyższe uczelnie. Obecnie studiuje w nich ponad 100 tysięcy synów i córek chińskich.

W Albani, za rządów obszarnczo-kapitalistycznych, ponad 80 proc. mieszkańców nie umiało czytać i pisać. Ilość szkół wiejskich nie przekraczała 150, a niemal wszystkie obsadzone były przez jednego nauczyciela i oparte na 3 lub 4-letnim okresie nauczania.

Obecnie w Albanijskiej Republice Ludowej obowiązuje powszechne 7-letnie nauczanie. Sieć szkół podstawowych siedmioklasowych została — w porównaniu z rokiem 1938 — powiększona 26-krotnie. Ilość uczniów w szkołach wiejskich wzrosła w tym okresie 3-krotnie, a liczba nauczycieli 4-krotnie.

Partia i rząd szczególnie wielką wagę przykłada do sprawy likwidacji analfabetyzmu, co nastąpi ostatecznie już w przyszłym roku.

FILM

18 lutego zakończył się Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Chinach. W czasie jego trwania wyświetlano w Wietnamie wiele filmów produkcyjnych radzieckiej i chińskiej, jak np. „Kubańczyk z Kozakami”, „Kraźnowi Wargę”, „Dziwaczyna o białych włosach” i inne. Wyświetlanie filmów poprzedzało prelekcjami o osiągnięciach kinematografii radzieckiej i chińskiej.

Filmy, wyświetlane na wsi przy pomocy przenośnych aparatów, zdobyły sobie wielkie uznanie widzów.

Nawet w Stanach Zjednoczonych coraz mniej ludzi wierzy w to, aby polityka blokady i dyskryminacji mogła przeszkodzić rozwojowi ekonomiki krajów obozu socjalistycznego. Niedawno prasa donosiła, że kierownik amerykańskiej organizacji rządowej nadzorującej wywóz towarów za granicę, Harold Stassen, uznał za konieczne zapowiedzieć pewne złagodzenie polityki wobec handlu, które by potwierdzały te deklaracje. Tym niemniej można by już mówić o pierwszych wahanach wśród samych inicjatorów blokady gospodarczej.

Handel ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej ma przy tym poważne dodatki zalety z punktu widzenia sfer gospodarczych Zachodu. Stosunki handlowe ze Związkiem Radzieckim opierają się zawsze na bazie pełnej równości i na poszanowaniu suwerenności partnera — czego o USA bynajmniej powiedzieć nie można. Gospodarka radziecka jest gospodarką planową, nie znajdując ani kryzysów, ani załamania. Związek Radziecki jest więc najbardziej solidnym partnerem. Wreszcie zapłata za towary, dostarczana przez Związek Radziecki odbywa się nie w dolarach (których poważny brak odczuwają kraje kapitalistyczne), ale oparta jest głównie na zasadzie wymiany towarów; coraz częściej też Związek Radziecki płaci złotem lub walutą obcą za towary importowane.

PIĄTY DELEGAT W BERLINIE

Zagadnienie to posiada nadto jeszcze jedną ważną stronę. Trudno jest handlować, gdy myślisz zaprzęgnięta jest wojna, gdy statki i koleje zamiast towarów przewożą czołgi i armaty. Kto pragnie handlu, temu potrzebny jest pokój. Stąd wszelkie wysiłki w kierunku

rozszerzenia stosunków handlowych między Wschodem a Zachodem sprzyjają zachowaniu i umocnieniu pokoju.

Dlatego też zagadnienie rozwoju międzynarodowych stosunków gospodarczych stało się przedmiotem obrad czterech ministrów spraw zagranicznych wielkich mocarstw. Ktoś wyraził się, że na konferencji berlińskiej uczestniczyło nie czterech lecz pięciu delegatów, ponieważ piątym była... opinia publiczna. Istotnie, nie trudno jest zauważyć, że potrzeba tej konferencji dojrzała w warunkach, kiedy powszechne dążenie narodów do złagodzenia napięcia międzynarodowego spłodziło się z dążeniem do normalizacji wymiany handlowej.

I nie trudno jest np. doszukać się związku między ogólniejszymi sformułowaniami brytyjskiego ministra Edena w Berlinie a wielomilionowymi zamówieniami, które w tym samym czasie wywoziły z Moskwy kolejne delegacje przemysłowców angielskich. Bo sprawy pokoju nie da się oddzielić od sprawy rozwoju normalnych stosunków gospodarczych między wszystkimi krajami — podstawy stabilizacji ekonomicznej i wyższej stopy życiowej ludności.

Odpowiedzią na obawy i wątpliwości tych wszystkich, którzy — podobnie, jak owa Angielka — nie widzą wyjścia z trudności, z jakimi borykają się kraje kapitalistyczne, powinny być słowa min. Molotowa. Na konferencji berlińskiej radziecki minister spraw zagranicznych powiadał ten problem z koniecznością odprężenia w stosunkach międzynarodowych, które to odprężenie powinno — jak powiedział — „znaleźć odzwierciedlenie również w stosunkach międzynarodowych związanych z rozszerzeniem stosunków handlowych między państwami”.

Tadeusz Zieliński

surowca rodzimego. Laboratoria wydzielają specjalne ekipy lekarskie, które docierają do najbardziej odległych wsi, niosąc pomoc ludności. W rejonach wiejskich powstały szpitale i ośrodki zdrowia, a także punkty przeciwdrogiem. W prowincji Kuangsi jest np. przeszło 50 szpitali powiatowych i 209 rejonowych ośrodków opieki nad zdrowiem. W rejonie Baise prow. Kuejilin istniał dawniej tylko jeden ośrodek zdrowia; obecnie jest ich 54. Ośrodki zdrowia powstały nawet na pustynnych terenach Sinkiangu, mieszcząc się w jurtach mongolskich.

Dzięki powstaniu wielu ośrodków przeciwdrogiem udało się prawie całkowicie zlikwidować choroby epidemiczne. Wzmocniona opieka nad matką i dzieckiem, coraz częściej sięc izb porodowych przyczyniła się do znacznego spadku śmiertelności wśród dzieci.

SPORT

Coraz szybciej rozwija się sport masowy na wsi chińskiej. Kola sportowe powstają przy stacjach maszyn, traktorowych, oraz w poszczególnych wsiach. Tak np. w prowincji Fukien zorganizowano ich ostatnio 148. W Junnie ponad 200, a w okolicach miasta Lanczou ok. 100. Młodzież wiejska własnymi siłami buduje stadiony i urządzenia sportowe.

Szczególną popularnością wśród sportowców wiejskich cieszy się piłka ręczna i gimnastyka.

(les)

Sprawy międzynarodowe

w okresie od poprzedniego zjazdu, który odbył się w roku 1948 oraz użycza drogi rozwoju na następne lata.

A jest tych osiągnięć немало. Jak oświadczył w referacie sprawozdawczym sekretarz generalny partii, Wylko Czerwenkow, okres ten stanowi „niebawymy w dziejach naszego kraju skok w rozwoju sił wytwórczych, skok do socjalizmu”. Wystarczy powiedzieć, że obecnie nastąpiło całkowite odwrócenie proporcji między produkcją rolniczą a przemysłową, która stanowi dziś dwie trzecie całej produkcji kraju. Bułgaria jest też pierwszym z krajów demokracji ludowej, gdzie spółdzielnie produkcyjne ogarnęły większość pracującego chłopstwa.

Dzięki temu, że pierwszy plan pięcioletni został wykończony w czterech latach, Bułgaria w zeszłym roku rozpoczęła realizację nowego planu 5-letniego. Centralnym zadaniem tego planu jest zdecydowane podniesienie dobrobytu i poziomu kulturalnego mas pracujących. Osiągnięte to zostanie drogą dalszego rozwoju przemysłu i rolnictwa, szczególnie hodowli, a dochody ludności — w tym również chłopów pracujących, wzrosną o około 40 proc. Tak jak w poprzednim okresie zlikwidowano tragiczną nędzę wsi, tak obecnie Zjazd radzi używając słów tow. Czerwenkowa — nad umocnieniem z chłopów ludzi zamożnych.

Uważnie śledził obrady swej Partii naród bułgarski. Nad poszczególnymi referatami dyskutował cały kraj; cały kraj radził jak usprawnić swoją pracę, jak poprawić życie. A że było to głębokie i owocne przemyslenie świadczyć może wypowiedź Wylco Draganova, pastucha fermi hodowlanej spółdzielni produkcyjnej im. Czerwenkowa we wsi Pczelarowo:

„Dziś inaczej żyjemy. Ziemia jest nasza, pracuję tylko dobrze, rozumnie, to i otrzymasz wszystkiego pod dostatkiem. Postanowiłem dać dzieciom wykształcenie, żeby wyszły na ludzi; widzę jednak, że i mnie dziś trudno jest bez nauki”.

I tak natchniony ideami Partii pastuch Draganova zaczęło studiować naukowe podstawy hodowli.

Marian Piekut

* TEZY *

PRZEDZIAZDOWE

Partia

Pamiętamy...

Beznadziejne lata głodu, nędzy i poniewierki. Grzbiety schyłone na zawsze od trudu, który nie był radością... Lata znaczone grobami, tych co nie wytrzymali i nie dożyli, pańskimi i policyjnymi razami i ranami... Lata okrutne morderstwa, których było za mało i gębami, których było za dużo...

Ale wśród tej ponurej nocy jak błyskawice dobiegły do uści hasła: ziemi dla chłopców, wolności dla ludu, To pracowała, to walczyła Partia.

Pamiętamy...

Gorycz klęski i niewoli faszyzmu. Wysłędzenia, obozy, praca niewolnicza... Obelgi i poniewierka nowych panów...

Wtedy znów do chłopów przemówiła Partia:

„W obliczu groźby, jaka oczekuje naród Polski, nie wolno zwlekać i czekać... Obecnie nie w pańskich rękach, lecz w rękach ludu pracującego... spoczywa troska o los narodu polskiego i Polski, Polski naszej, Polski Ludowej, której nie oddamy w ręce reakcji”.

Tak się stało. Jeszcze pola zasnuły dymem wystrzałów i pogorzelisk bitewnych, a już na nie wychodziły ludzie ze sznurkiem i kołkami. Realizowało się odwieczne marzenie chłopów — ziemia — realizowane program Partii.

Na czele budowy nowego życia stanął brat, przyjaciel, sąsiad — partyjni. Za słowo owe — symbol rewolucji — ginęli ludzie. O tych, którzy podjęli to miano, szczerbił się oręż agentów i kulaków. Nowe powstawało w trudnym ale zwycięskim marszu.

*

Najniższym ogniwem Partii na wsi jest gromadzka Podstawowa Organizacja Partyjna. Ważne i odpowiedzialne jest zadanie reprezentowania polityki Partii, ważne i odpowiedzialne jest realizowanie tej polityki na wsi.

Partia na pierwszą linię walki o wzrost produkcji, Podstawowa Organizacja Partyjna w armadzie Brzoźnica (pow. Debica), dba więc o to, by wszyscy chłopci nauczyciele przechowywali obojętnie: Podstawowa Organizacja Partyjna w Sulcy (pow. Przemyski) podejmuje walkę z chłwaściami; organizacja przywódców w pow. Wębrzeski wprowadza szkolenie agrochłopskie zarówno dla chłopów indywidualnych, jak i dla członków nowo powstałej spółdzielni...

Partia nie toleruje wyzysku. W gromadzie Narol pow. lubawoskiego członkowie Partii postawili pod osąd gromady kulaków sabotażystów wykonanie dekretu o pomocy sąsiedzkiej Osomoniemi wyszukujące nie śmieli dłużej uprawiać sabotażu na wódach polach...

Partijni walczą o terminowe uregulowanie obowiązków wobec państwa, partyjni też pierwsi suym przykładem pociągają gromadę do naprawy dróg i budowy szkół, do walki z biurokrytazmem i kumoterstwem. Stoją na czele rewolucji na wsi, na czele walki o zniesienie wszelkiego wyzysku i ucisku, o pełne, piękne życie — o socjalizm.

Nielatna to rola — prozodować. I trudno jej się nauczyć. Są tacy co odpadają: często przyjdzie walczyć z całym dotychczasowym życiem. Trzeba się uczyć. „Jak członek Partii ma przodować — mówi Jan Skrzydeł z gromady Borusowa w pow. dąbrowskim — to niech się uczy polityki i gospodarki, o co”.

I tak, jak kiedyś orężem Partii była nielegalna ulotka, czy okupacyjny granat, tak dziś jest nim gazeta, książka, radio, film — przybierające politykę i gospodarkę do gromady, uczące jak żyć i pracować. I nie jest rzeczą przypadkową, że tyle chłopskich zobowiązań na II Zjazd Partii dotyczyło udziału w Konkursie Czytelnicy, prenumeraty czasopism, szkolenia, świetlic...

Sua miłość i przywiązanie do Wielkiej Przewodniczącej Narodu zaokrąglali chłopci polscy także wzmocnieniem walki o realizację jednego z podstawowych Jej haseł — o upowszechnienie kultury i oświaty, o wieś ludzi mądrych i szczepiliwych.

Obok osiągnięć produkcyjnych obok ton ziarna i miesa, meldunki o książkach i świetlicach będą najmiłszy podarunkami na Zjazd, jakie powiozą do Warszawy delegaci nowej wsi, przodująca siła gromady — towarzysze spółdzielcy, towarzysze chłopci.

Z. K.

NOWOSC

Ukazał się ciekawy zbiór wspomnień żołnierskich pt.

„Słowa Żołnierskie”

Wstęp J. Przymanowski

Stron 380

Zł 18,70

Nakładem

WYDAWNICTWA MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

TEZY PRZEKUJEMY W CZYN

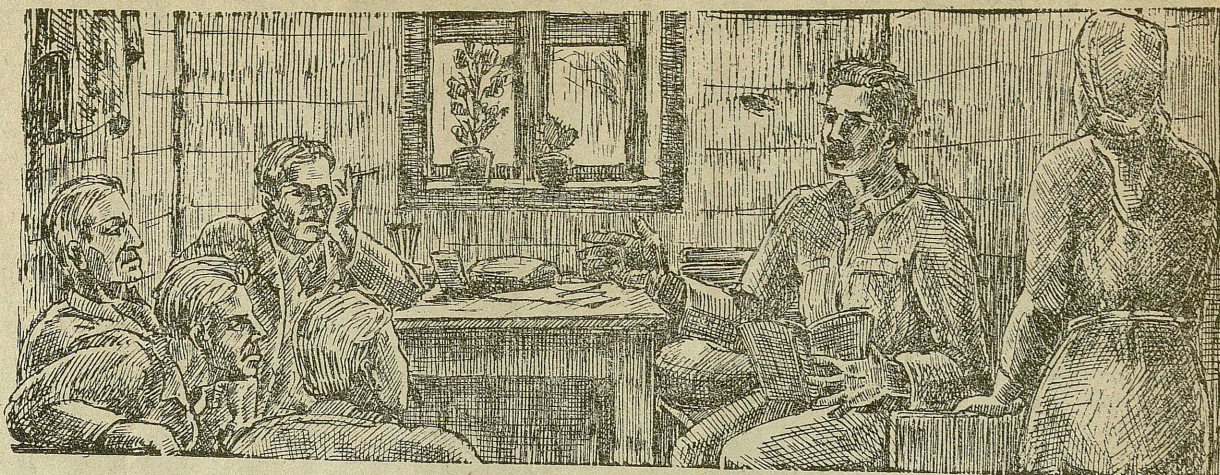
Wypowiedzi naszych korespondentów terenowych Ignacego Mrugałskiego z Białostocznego i Stanisława Hanusiaka z Podhala — które poniżej zamieszczamy — stanowią wymowny przykład twórczego zrozumienia i przystosowania też przedzjazdowych do lokalnych potrzeb i warunków.

Projekty korespondentów pokazują przykładowo jak zbliżyć do gromad wykłady UWR, jak usterować ich programy, jak kierować dyskusją i podsumować ją z wnioskami do realizacji, do czego był mniej przygotowany. Inicjatywa i aktywność chłopów okazała się w całej pełni. Na czoło wysunęły się przodujący gospodarze, racjonalizatorzy, mierzurynowcy. Oni dzielili się swoimi doświadczeniami z gromadą.

Projekt przyspieszenia żniw na Podhalu opracowany przez mierzurynowców z Łętowni ma coś z romantyki ujarzmienia i panowania nad przyrodą, jest jednak oparty na realnych możliwościach gospodarczych teren. Podhalańskim chłopom nie brakuje inicjatywy i odwagi w przekuwaniu też przedzjazdowych w czyn, który rozpoczyna nadciągająca wiosna 5-go roku sześciolatki.

Listy wskazują jeszcze na jedno zjawisko w życiu gromad: wysuwanie się zdołanego aktywnego, zdobywającego coraz szerzej podstawy naukowe kultury rolnej, na którym mogą oprzeć się w swej pracy instruktorzy wiedzy rolniczej oraz organizacje polityczne i społeczne. Ten aktywny to podoficerowie linii wielkiej ofensywy, która zlikwiduje dysproporcje między rozwojem przemysłu i rolnictwa. Wypowiedzi korespondentów z Podhala i Białostockiego są wyrazem działania w masach chłopskich potężnego ładunku ideologicznego i politycznego IX Plenum i dyskusji nad Tezami Przedzjazdowymi.

Za przykładem korespondentów z Podhala i Białostockiego wywamy przodujących chłopów i działaczy do przedstawienia jak ich gromady przekuwają Tezy w czyn.



Wykład instruktora szkolenia rolniczego Tadeusza Wróblewskiego dla aktywu wiejskiego we wsi Zany w powiecie lubartowskim. Rysunek wykonał Tadeusz Miedzianowski, ludowy artysta z powiatu lubartowskiego

IGNACY MRUGALSKI

O UTERENOWIENIE WYKŁADÓW WIEDZY ROLNICZEJ

W naszej wsi z ramienia UWR prowadzi wykłady inżynier rolny ob. Cyba, pracujący w pobliskiej kochalni „Staw”, a że chłopci miejscowi — to kontraktory też placówki, kiedy więc ogłoszono pierwszy wykład, zaciękanie stawili się tłumnie. Temat wykładu brzmiał: „Budowa i czynności w organizmie zwierzęcym”. Chłopi byli zaskoczeni, spodziewali się bowiem interesujących ich praktycznych zagadnień. Toteż choć wykładowca mówił pięknie i rysował na tablicy, wykład nie odniósł skutku, dyskusja była jałowa, chłopci rozeszli się niezadowoleni.

Na drugi wykład stawili się tylko jedna trzecia słuchaczy, mimo że wszyscy byli zawiadomieni.

Zastanowiliśmy się wspólnie z inżynierem nad przyczynami tego stanu rzeczy. Tematy projektowane były zbyt ogólne, oderwane od praktyki, „szkolne”.

Błąd takiego cyklu wyjaśnił nam do reszty artykuł Wł. Misuń „Doświadczenia z wykładów” („Wies” nr 2). Po zastanowieniu na przyszłych wykładach wysunął tematy związane bezpośrednio z potrzebami rolnymi naszej wsi: np. o najważniejszych paszach i roślinach, o tworzeniu silnych baz paszowych. Omówienie tak żywotnego zagadnienia powinno ściągnąć wszystkich miejscowych rolników.

Nie omyliliśmy się! Nasz wykładowca inżynier miał teraz niekiedy pracę. Mniej może wykładal, ale musiał kierować gorącą dyskusją i podsumować ją wraz z wnioskami do realizacji, do czego był mniej przygotowany. Wybrał jednak z ciężkiej sytuacji świetnie, co sprawiło, że chłopcy z uznaniem wyrażają się o nim i jego pracy.

Ale wróćmy do wykładu. Kiedy mówił o poplonach, o kiszonkach itp. chłopcy z niecierpliwością czekali, by dojdło do głosu i określić sytuację wsi na tym odcinku. I tu inżynierowi otworzyły się oczy, że trzeba brać życie takie, jakie jest, tzn. znać miejscowe warunki, by dotrzeć do umysłu chłopów. O kiszonkach — poza kiszonką wyłoków i liści buraczanych — nie pozwolili sobie dużo mówić, gdyż innych kiszonek nie uprawiają, warunki glebowe są niegłębokie, by udały się takie poplony, jak seradela, lubin słodki, czy też lucerna. Szczególnie panujące w ostatnich latach susze zniszczyły wszelkie zasiewy późniowe — i próby tworzenia przewidzianych baz paszowych spęły na niczym. Chłopi wskazali na naturalne bazy paszowe, dotąd mało wykorzystane, jakimi są łąki położone w dolinie rzeki Mieszyn, oraz pastwiska na drugim końcu pod lasem.

Rzeczka, która jeszcze 3 lata temu płynęła nie ujarzmiona, pięknymi meandrami przez dość szeroką dolinę, zalewała ją wiosną do wyso-

kości pól uprawnych, tworząc prawdziwe jezioro. Rzeczka została skanalizowana. Ale kiedy gminna rada nakłaniała chłopów do zaostrzenia pasz, chłopcy nie okazali zapału. Kto by tam łąkę orał? Młodzi jednak podjęli się tego zadania. Sprowadzono plugi łakowe — robota częściowo ruszyła, lecz wyniki były słabe. Mało wilgotne łąki i susza sprawiły, że zasiewy weszły licho, za to pokazywały się chwasty, jak pokrzywa i lebidoda — i wegetowały bujnie niczym las. Co prawda średniorolny Skorniak Jan i na tych chwastach wyżył 30 bekoniów przez lato, podpasł je jesienią paszą treściwą i odstawił ponad plan.

Na ogólną skargę miejscowej ludności władze melioracyjne wzięły się do budowy zapór wodnych w celach irygacyjnych. Na terenie wsi w odległości 3 km od siebie powstały dwie takie zapory, kosztem 10 tys. zł każda. Problem nawodnienia łąk został w części rozwiązany i ci rolnicy, których łąki są położone w pobliżu tam, nie mogą się nachwalić traw, które koszą trzy razy w roku. Skanalizowana rzeczka odchodzą wszelkie nieczystości, powstałe przy przeróbce ziemniaków w pobliskiej kochalni, zawieszony te są doskonałym nawozem na pola.

W dyskusji podniesiono kwestię budowy dalszych tam, by wszyscy rolnicy mogli z tego dobrodziejstwa skorzystać. Wykładowca inżynier przyrzekł poprzeć chłopów w miarodajnych czynnikach. Są widoki, że plan budowy nowych tam zostanie w najbliższym czasie zrealizowany.

Drugą pilną sprawą jest stworzenie bazy paszowej na terenie dotychczasowych pastwisk, gdzie każdy rolnik w Kępku jest właścicielem co najmniej 1 ha. Wyłom w dotychczasowym użytkowaniu zrobił średniorolny Jan Skorniak. Zabrał wyżej położone pastwiska, dał w pierwszym roku okopowe, następnie mieszanki zbożowe, a dopiero w trzecim roku zasiał trawę szlachetną. I cudowne miał urodzaje!

Rolnicy przekonali się naocznie, jak umiejętność można zmusić ziemię do obfitego plonowania. Toteż Skorniak, zamiast wykładu inżyniera, referował słuchaczom w prostych słowach, w jaki sposób trzeba przeprowadzić orkę, jak użyć kultywatora, jak uprawić ziemię, jak pielęgnować zboża, by zagłuszyć chwasty. Zainteresowanie słuchaczy było wielkie, gdyż „wykład” opierał się na faktach realnych do bezpośredniego zastosowania.

Już jesienią ub. roku gromada podjęła zobowiązanie zaostrzenia 10 ha pastwiska i zobowiązanie do końca grudnia wykonała w 100 proc. POM przyszedł chłopom z pomocą, dając traktory, plugi, kultywatory tale-

rowe. Należy się cieszyć, że w krótkim czasie znikną od setek lat nie ruszane pastwiska i powstaną prawdziwe, nowoczesne i wydajne bazy paszowe. Dzięki nim podnieść się produkcja mleka i hodowla bydła nie o 100, ale o 200 lub 300 proc.

Tak więc na dwóch wykładach omówiono najistotniejsze wprost palące zagadnienia. Czy innych podobnych nie ma jeszcze na naszej wsi? Chocby sadownictwo. Na jego temat nie przewidziano żadnego wykładu. A szkoda, gdyż istniejące na miejscu koło mierzurynowskie boryka się z wielkimi trudnościami, a prace koła idą w tym kierunku, by uzupełnić już istniejące, uzupełnić dotychczasowe, względnie założyć nowe, wzorcowe sady handlowe.

Nie chciałbym krytykować pracy inspektoratu UWR, ale czy przykładowo programy wykładów dla wsi nie zostały ułożone przy „zielonym stoliku”, bez uprzedniego zainicjowania się z terenem i potrzebami ludności?

Warto na tym podyskutować. Przecież można ułożyć taki plan wykładów, który byłby różny dla poszczególnych gromad, a przynajmniej gmin. To wybitnie ożywi zainteresowanie chłopów wykładami, ożywi dyskusję i wymianę doświadczeń. Najlepszym przykładem tego jest Kępko.

Ignacy Mrugałski
Kępko, pow. Wierzyński



STANISŁAW HANUSIAK

PROJEKT PRZYSPIESZENIA ŻNIW NA PODHALU

Na wszystkich zebraniach słyszemy wołania o upowszechnienie wiedzy rolniczej. Bez niej nie można skutecznie prowadzić walki o podniesienie wydajności plonów.

Ale chłopcy nie chcą słuchać głupstw, bo przecież coś nie chcą zająć się na rolnictwie. A czy może spełnić zadanie instruktor rolny Józef Polaniak z Tokarni, wprawdzie chętny do pracy, ale powierzchownie traktujący sprawy rolnictwa, skoro odważył się na zebraniu, w obecności inż. Kałużnego z Powiatowego Wydziału Rolnictwa zaliczyć do mieszanki łąkowej i pastwiskowej faceli i malwę? Facelia czyli wianka wrotyczowa, jest znaną rośliną pszczałarską, dającą długotrwały pożytek, a malwa — rośliną lekarską, objętą planem kontraktacji do uprawy.

Toteż z miejsca otrzymał odprawę. Doświadczony rolnik i aktywny działacz ZSL, Józef Charnota z Krzeczowa, wyliczył bez zająknięcia zespół traw, nadających się na nasze tereny górskie, a więc znoszących posuch, mrozy, dużo śniegu, oraz zacienienie, jak: tymotka, kostrowa łąkowa, wyczerwiec łąkowy, kostrowa czerwona, kupkówka, wiechlina łąkowa, grzebienica pospolita, stokłosa bezostna. Według Charnoty wprowadzony do naszych mieszanek łąkowych rajgros angielski — to błąd, gdyż nie cierpi on posuchu, mrozu i śniegu. Dobry jest natomiast do mieszanki pastwiskowej, znosi bowiem przegrzanie,

przez co nawet krzewi się silnie, zagęszcza i zadarnia pastwisko.

To już nie fantazja, nie facelia i nie malwa czyli — nie bujanie, ale teoria oparta o spostrzeżenia z praktyki, bo Charnota od kilkunastu lat prowadzi u siebie sztuczne łąki i pastwiska.

Franciszek Mastela, prezes koła ZSL z Krzeczowa w związku z konieczną ochroną lasu proponował, ażeby przestać grabić ściółkę leśną. Należy chłopom ułatwić sprzedaż posuszu, drzewa z kominika, czy z wiatraków w granicach powiatu myślenickiego do Gdowa, Dobrych i okolicy, które obfitują w susz. Zmienić więc trzeba dotychczasowe przepisy o ochronie lasów, jako burokratyczne, gdyż większą szkodę przynosi lasowi zabranie jednej furi ściółki leśnej, niż wycięcie posuszu czy zerwisk, a za dwa metry sześciennego drzewa opałowego można otrzymać do 800 kg słomy na ściółkę. Kiedy się to chłopom ułatwi, nie będzie dewastacji lasu.

Instruktor rolny Polaniak twierdził, że dobry rolnik nie powinien słomy kupować, bo powinien mieć jej dość we własnym gospodarstwie. Słusznie — ale tylko w części. Wszak w terenach górskich nie mamy dużych zasiewów zbożowych ani wysokiej słomy.

Nie wystarczy papierowy program i nie pomogą same tylko bodźce ekonomiczne, jakie stwarza nam państwo ludowe. Wiesz musi też dać wiele własnego wkładu. I my sami musimy odkryć istotne przyczyny, przez które w naszych górskich warunkach napotykały trudności w szybkim powiększeniu bazy paszowej.

Krótki okres wegetacyjny, późna wiosna, wczesna jesień, skoncentrowanie okresu żniw na sierpniu — oto co powoduje brak czasu na wykonanie podorywek, a zatem nieskuteczność orki zimowej, nie- możność użycia siewnika na twardziej sibile z brudami; mało czasu na siew i wzrost poplonu, niemożność uzyskania trzech plonów w dwóch latach — oto niektóre przyczyny. Ale jeżeli nie można „nakreślić” pogody do potrzeb rolnictwa w górach, to można „nakreślić” system gospodarki do miejscowych warunków.

Nasze koło mierzurynowskie w Łętowni w oparciu o doświadczenia wypracowało następujący plan:

1) Grunta na zboczach, nie nadające się pod uprawę ze względu na płytką glebę, zmywanie, małe plony — zamienić stopniowo na łąki i pastwiska, przy wykorzystywaniu traw, które tutaj nadają się do uprawy.

2) Jeżeli przodujący chłop, Józef Hanusiak uzyskał w r. 1951 — 12 q

jęczmienia z ha, w 1952 r. — 16 q, a w r. 1953 — 24 q — czyli w ciągu trzech lat podniósł plon jęczmienia w dwójnasób (przy zastosowaniu podorywek zimowej orki, zmian nasion, siewu rzędowego i racjonalnego nawożenia), jest więc możliwe w naszych warunkach zwiększenie produkcji zbóż.

Po tych wynikach — mówił Hanusiak — nie mam teraz spokoju, bo czytałem, że kolchoźnicy radzieccy dochodzą do 40 q zbóż z 1 ha.

Aby takie plony mogły stać się zdobyczą szerokiego mas rolników na Podhalu, trzeba tu w górach prowadzić racjonalną uprawę ziemi, aby był czas na wyrośnięcie poplonów, na korzystny rozkład prac w gospodarstwie. Do czego więc trzeba zmierzać? Do tego, aby żniwa przyspieszyć, aby cofnąć je z 20-go lipca — na 1 lipca.

3) Czy jest to możliwe? Tak. Trzeba wyszukać jęczmień ozimy „Mikulicki”, odporny na wyłęganie. Wprowadzony do zasiewów w górach, da on nam wczesne żniwo i przyspieszy żniwa.

Trzeba wprowadzić u nas jary jęczmień 4-rzędowy — wczesny. Odpowiednie nawożenie potasowe przyspiesza dojrzewanie jęczmienia o 14 dni, co razem pozwoli na cofnięcie początku żniw z 10 sierpnia na 10 lipca.

Trzeba wprowadzić wczesny owies „Niemierzański”, który dojrzewa o 14 dni wcześniej i żyto ozime „Mikulickie”, które także dojrzewa wcześniej.

Z zabiegów agrotechnicznych wprowadzić należy przede wszystkim zimową orkę oraz wapnowanie wszystkich gruntów, gdyż dotychczas wapijemy tylko gleby ciężkie i podmokłe. A przecież nasze grunta, nawet na „groniach” — rzekomo lekkie i suche — są zakwaszone i wymagają wapnowania. Dowodzi tego występowanie na nich (przy dłuższym pozostawieniu gruntu odłogi) bliźniakczy wyprostowanej, zwanej „psią trawą”.

Dyskusja związana bezpośrednio z upowszechnieniem wiedzy rolniczej po IX Plenum wskazuje na konieczność dostosowania wykładów i doświadczeń do potrzeb terenu. Dobre wyniki może zapewnić nie szablonowe stosowanie ogólnie znanych zabiegów agrotechnicznych, ale wypracowanie dla każdej okolicy odpowiedniego systemu uprawy i nawożenia. Tę pracę trzeba traktować jako stałą i długofalową, a wszelkimi doświadczeniami tak naukowców, jak i rolników-praktyków dzielić się z ogółem rolników.

Stanisław Hanusiak
Łętownia k. Jordanowa

STANISŁAW KRAKOWIAK

Wykno buduje świetlicę

6 stycznia 1954 roku.

U Maciaszczyka zebranie koła gromadzkiego ZSL-u. Przybyło ponad 10-ciu członków. Wszyscy czekali po co ich przyszedł. Nie czekali długo. Maciaszczyk w krótkich słowach przedstawił obmyślony przez siebie i soltysa plan zdobycia pieniędzy na wybudowanie świetlicy.

Oto — mówił Maciaszczyk — w naszej gminie jest spółka, a raczej monopol na wożenie towarów do GS. Opanowali go Stanisław i Józef Wdówkowie ze Slugocin oraz Władysław Maciaszczyk z Rosochy. Zamierzają oni wozić lód również do mierzuryn, masarni i wozni mleka — i to zarówno w naszej, jak i w innych gromadach gminy Będków. Trzeba ich wypierdzić. Musimy zawrzeć umowę: my, gromada, lód zwieziemy i około 8 tysięcy złotych zbierzemy na świetlicę.

Spojrzelismy po sobie i oczy nam zabłysły. Co roku przecież widzieliśmy, jak ktoś wozil lód i układał przed mierzuryną, ale żeby za to mógł uzyskać 7 tysięcy, to nam przez głowę nie przeszło! Szymanski aż podskoczył i krzyknął: „A to juchy! Na ile nas co roku okradali!”

Po postanowiliśmy, że 7 stycznia do gminy w Będkowie uda się soltys i Rutkowski, gdzie zawrą umowę z przedstawicielami Mierzuryny Okręgowej ob. Piecal. A po jutrze cała gromada rozpocznie rozwóz lód,

7 stycznia 1954 roku.

Soltysowi i Rutkowskiemu nie udało się zawrzeć umowy z kierownikiem zlewni Piecal na dostarczenie lodu przez gromadę Wykno. W gminie siedzieli już prywatni wozni: Stanisław Wdówka, Józef Wdówka i Władysław Maciaszczyk, mają oni monopol na wszelkie przewożenie towarów dla gminnej spółdzielni, dla gminy i dla innych instytucji. Rece monopolistów będkowskich są długie: sięgają do Piecal, do przemydium GRN, do gminnej spółdzielni, i nawet dalej. Z tą więc prywatną „firmą”, a nie z gromadą, zawarli umowę kierownik zlewni. Furmanki mieli zwozić i układać setki ton lodu nie tylko przy zlewni mleka w Wyknie, ale też w Drzazgowej Woli, Ceniawach, Będkowie, Fraskach — w całej gminie.

Po południu wrócili do Wykna soltys i Rutkowski jak nie pyszni. Chcieli gromady, twórcza inicjatywa chłopstwa została wymiśniana i już na pierwszym kroku zduszona.

Antoni Maciaszczyk zwołał jeszcze tego wieczoru zebranie gromadzkie, gdzie zdecydowano: przesyłać do komisji KP PZPR. Uzgodnili z kierownictwem gminnej zlewni, że lód wozić ma gromada Wykno, a nie prywatni furmani. Powiadomili o tym ZSL w Wyknie.

10 stycznia 1954 roku.

Radosna to była niedziela. Po południu soltys Bloch zwołał zebranie gromadzkie i dokonano wyboru komitetu gromadzkiego, który miał w imieniu wsi podpisać umowę na wzięcie około setki ton lodu. Sprawa wyglądała na wygrana. Toteż chłopcy z radością i owdzie na konto zwycięstwa niegórzej popili i wracali do domu w radosnym podnieceniu, jak zwycięzcy.

pełnione i nie zabierają wszystkich. Kto bez delegacji, nie ma widoku na jazdę. Pomaszerował Maciaszczyk pieszko, klnąc pod wąsem na całą komunikację. Sekretarza ZSL nie było, ale sprawę przedstawił do- kładnie jednemu z członków PKW ZSL; utwierdził go on w przekonaniu, że gromada ma rację i słusznie wydała walkę o prawo do wożenia lodu.

9 stycznia 1954 roku
Intervencja przyszła szybko. Przyjechał sekretarz PKW ZSL i przedstawiciel KP PZPR. Uzgodnili z kierownictwem gminnej zlewni, że lód wozić ma gromada Wykno, a nie prywatni furmani. Powiadomili o tym ZSL w Wyknie.

10 stycznia 1954 roku
Radosna to była niedziela. Po południu soltys Bloch zwołał zebranie gromadzkie i dokonano wyboru komitetu gromadzkiego, który miał w imieniu wsi podpisać umowę na wzięcie około setki ton lodu. Sprawa wyglądała na wygrana. Toteż chłopcy z radością i owdzie na konto zwycięstwa niegórzej popili i wracali do domu w radosnym podnieceniu, jak zwycięzcy.

11 stycznia 1954 roku
Jakieś było zdumienie, gdy rano ujrzeliśmy, że prywatni furmani: Stanisław i Józef Wdówkowie oraz Maciaszczyk i ich pomocnicy — wozili lód trzema balonowymi furmankami! Porwała nas wściekłość. Trzeba było szybko działać. Pojechali przedstawiciele gromady i gminy i zawarli umowę, a furmani w najlepsze wozili lód do późnej nocy! Sądziły, że jutro zaprzesta-

nią zwózki, bo nie mają do tego prawa.

12 stycznia 1954 roku
Jeszcze było ciemno, kiedy do Maciaszczyka przyjechał soltys Bloch i walczył w okno, wołał: „Wstawaj, Wdówko już wozil lód! Mówią, że mają prawo, bo zawarli umowę”.

Pobięliśmy przez śpiącą dzielnicę. Rzeczywiście, rosła hałda lodowa. Furmanki podwoziły potężne masy lodu.

Posłaliśmy do Rutkowskiego i uzgodniliśmy, że pojedzie do powiatu do Komitetu Powiatowego Partii i przewodniczącego PRN i — jeszcze raz będzie interweniował. Prywatni furmani chcą postawić nas wobec faktu dokonanego.

13 stycznia 1954 roku
Rutkowski oświadczył rozmawiał z sekretarzem KP i przewodniczącym PRN. Do gminy Będków poszedł telefonogram od przemydium PRN, aby GRN zabroniła Wdówkom wozienia lodu. Telefonogram doręczono soltysowi z gminy, który pokazał go furmanom, ale oni wymiśniali nas: „Taka kartka nie ma znaczenia”. I wozili lód dalej. We wsi zbierała się hałda, że ludzie chcą furmanom przetrzepać skórę.

Po postanowiliśmy zwołać zebranie ZSL i posłać kartkę z opisem naszej sprawy do Milicji Obywatelskiej w Będkowie. W tym czasie przyjechał do Wykna dyrektor mierzuryny Tomasz Mazowiec i popierał sprawę furmanów. Ale już nadjechała Milicja z powiatu i Będkowie i odgoniła prywatnych furmanów od pracy przy lodzie. Co to była za radość, trudno opisać! Ludzie — a było ich przed spółdziel-

nią kilkudziesięciu — wrzeszczeli na cały głos: „Hurra! Góra Wykno!”

Józef Bloch wpadł do swego domu i krzyknął do syna:

— Jasiu zaprzęgać szybko konie, wozimy lód! — A stary 80-letni Kuba Dulas pokustykał z wnuczką i dalej lód układał. Za nim poszli Stanisław Kaczmarek i inni, cała młodzież, szczególnie ZMP-owcy, zabrali się do pracy.

14 stycznia 1954 roku
Od rana w naszej wsi wielki ruch. 12 ludzi poszło rąbać lód na stawie w Rudniku, a 13-tu na rzekę pod Rzeczów. Wszystkie furmanki gromadzkie zaczęły zwozić lód. Młodzi i starzy, kobiety, mężczyźni, a nawet dzieci pomagały w pracy. Nasze zwycięstwo!

15 stycznia 1954 roku
Dziś zakończyliśmy zwózki lodu. Jest już, jak obliczamy, 70 ton. Przywieziemy jeszcze 30 ton dla masarni. Razem 100. Będzie za to 7-8 tysięcy złotych.

17 stycznia 1954 roku
Dziś zebranie. Soltys przypominał, że pieniądze za zwózkę lodu mają być przeznaczone na budowę świetlicy gromadzkiej. Wniosek przeszedł jednogłośnie. Plac mamy, w dole jest 70 metrów wapna. Kamień na fundamente zwiezie gromada, o drzewo na dach, też nie trudno: mamy wszak lasy własne; niech każdy da po sztuce drzewa, a wystarzy. Trochę cegły i cementu kupimy za pieniądze z lodu. Będzie imi nareszcie swoją świetlicę, scena, widownia i kilku pokojami na zebrania, bibliotekę, czytelnia.

20 stycznia 1954 roku
Obliczaliśmy dzisiaj ile pieniędzy

mogą nagrabić furmani przy zwózce lodu w gminie. Wychodzi, że 25 tysięcy złotych! Gdyby inne gromady zrozumiały i postąpiły tak, jak nasza...

24 stycznia 1954 roku

Okazuje się, że przykłąd Wykna podziałał. W Woli Drzazgowej Straż Pożarna sama zwoziła lód. Tak samo postąpiły Praszk i Zacharz. W Będkowie co roku wozil lód bogacz Defiński. Tego roku ani się spochylił, jak strażacy z Kału „urządzili” go, zarobili pieniądze przeznaczyli na fundusz Straży. Za nami poszli inni.

Zespolenie się sił społecznych Wykna w walce z prywatnymi przedsiębiorcami, ma olbrzymie znaczenie w gromadzie. Ludzie zrozumie- li jak nigdy dotąd, że władza ludowa broni ich interesów, pomaga im — i kiedy potrzeba, krzyżuje plany kombinatorów. Chłopi z Wykna poczuli się na siłach i gotowi są do dalszego działania w imię dobra całej gromady.

Władze powiatowe powinny bliżej zająć się Wyknem. Trzeba otoczyć dołowe poczynania społeczne większą opieką. Trzeba pobudzać aktywność do działania i kierować tym działaniem. A jednocześnie demaskować siły w gromadzie i gminie, które przeciwdziałają budzeniu się nowego życia.

Możliwość zdobycia funduszy są w każdej wsi. Trzeba tylko, aby aktywni wiejsi przemysłowi sprawnie wyszukiwali tych rezerw, odpowiednio pokierowali gromadą i doprowadzili ją do zwycięstwa.

Stanisław Krakowiak

FRANCISZEK ŚNIEG

OBRACHUNEK Z PRZESZŁOŚCIĄ

Dobre pamiętam czasy rządów sanacyjnych — jak mnie „kochali” różni wyzyskiwacze, na których od 12-go roku życia pracowałem jak wół od świtu do nocy. Byłem na służbie w Czarneckiego w Kraśniku, Franciszka Karuty w Szklarni (niedaleko Janowa Lubelskiego), u Józefa Aleksaka we wsi Biała, (również obok Janowa Lubelskiego), u Jana Rządy we wsi Deputaty. A później u jaśnie pana dziedzica Jankowskiego w Józowie w pow. Bychawa. Pracowałem tam ciężko, jako robotnik sezonowy, za 80 groszy dziennie. Był tam też na sezonowych robotach od kwietnia do grudnia chłopcy i dziewczęta z mej wioski — Majdanu Golczewskiego w pow. Nisko i z sąsiednich wiosek.

Przypomnijcie sobie, moi towarzysze, którzyście tam razem z mną harowali, jak to było. Przypomnijcie sobie dobrze, jakieście mieli małą zakratowaną kłitkę na mieszkanie dla 20 osób. Tam było i spanie i mieszkanie, jedzenie i „rozrywka kulturalna”. Nazywali nas „durniami, głupimi” i co im się tylko podobało. Miałem wtenczas jedną koszulę zgrzebną, a moje ubranie było tak zbyte latami, że wreszcie zapomniałem z jakiego towaru było zrobione.

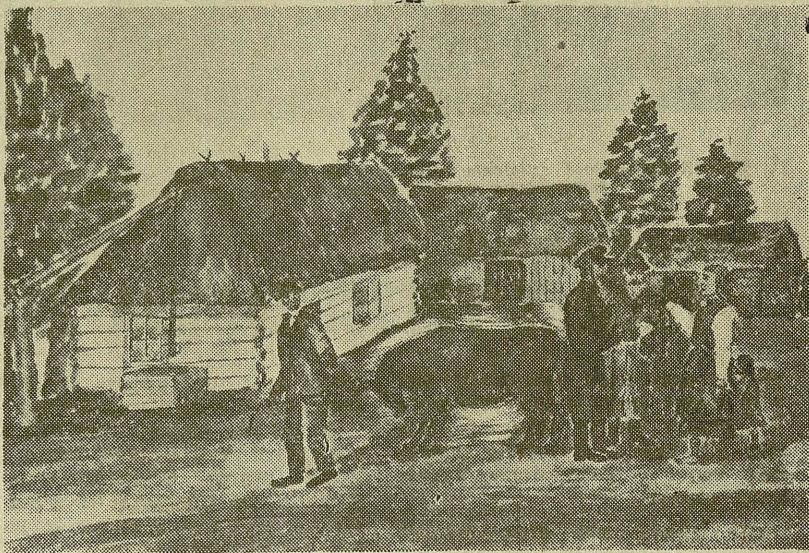
Mój ojciec, biedny chłop, posiadał zaledwie dwa hektary ziemi piaszczystej „prawdziwie rzeszowskiej” we wsi Majdan Golczewski. Trudno było rodzicom wyżyć i zapracować na pięćdziesięciu dzieci. Nie mogli nas posyłać do szkoły. Skończyłem zaledwie 4 klasy szkoły powszechnej, bo musiałem iść na służbę do bogaczy. Taką samą szkołę przeszło moje młodsze rodzeństwo — tułaczki i służbę za kawałek chleba u wyzyskiwaczy. Była to poniewierka, nie życie. Moi rodzice powiadali często: „Kochane dzieci, czeka was jeszcze gorsza bieda jak nas, ojców. Mamy niecałe 2 ha piaszczystej ziemi; dla was nawet po pół hektara po nas nie starczy”.

Matka moja nieraz rozpaczliwie płakała i godzinami chodziła zamknięta o przyszłość losów swoich dzieci. Chleb razowy z własnego młynka był dla nas największym smakołykiem, ale nikt z nas nie mógł na jeść się go do syta, bo nie mieliśmy prawa więcej niż raz dziennie upomnieć się u matki o chleb. Nikt z nas nie dopominał się o nic do chleba; nie wiedzieliśmy nawet, czy chleb z czymś się jada. O miesie, maśle, czy mleku nawet nie myśleliśmy; krowy u nas nie było. Raz tylko pamiętam jedliśmy mięso, gdy jastrząb rozzerwał kure — i zdążyliśmy mu ją odebrać. Matce o małym sercu nie pękło, bo kury były całym naszym gospodarstwem i źródłem utrzymania dla rodziny; za jątką kupowaliśmy sól, mydło, naftę, igły do łatania naszych ubrań i czasem koszulkę dla młodszych.

Niesposób wszystkiego opisać jak żyłem ja i moja rodzina w tym biednym Majdanie. A takich rodzin w naszej wsi, gminie, powiecie i na terenie całego kraju — było bardzo dużo. Niczym od naszego nie różniło się życie mych sąsiadów

Walentego Kusia, Stanisława Łepka, Walentego Czerepaka, Antoniego Sokala i wielu, wielu innych.

Nadchodzący coraz gorsze lata bezrobocia, głodu i nędzy na rzeszowskiej ziemi. Ojciec jeszcze częściej chodził za pracą po okolicy do wsi oddalonych o 20—30 kilometrów; do Godziszowa, Białej, Zdzisławowa, Batorza, do Kraśnika, pod Zółkiew. Brał cepy na plecy i szedł z domu, jak żołnierz na front, że-



„Ostatnia chudoba” — tak zatytułował swój obraz, ludowy artysta Franciszek Gaworczyński z Rzeszycy pow. Rawa Mazowiecka. Na obrazie — granatowy policjant i komornik, uprowadzający ostatnią krowę. Tak utrwaliły się w pamięci ludowych artystów przedwojenne lata...

by gdzieś wywalczyć parę miarek żyta na chleb, które przynosił w worku na płacek. Matka suszyła to żyto na piecu, żeby lepiej szło pod kamień, gdy kręciła „młynkiem”. Często bywało, że ojciec wracał z gołymi rękami, kłnąc sanacyjne rządy na czym świat stoi: za to, że nie ma prawa do życia i pracy, że nie ma chleba dla dzieci. W 1930 roku wyemigrował do Niemiec na roboty. Tam pracował przez trzy lata na niemieckich obszarach i ich dzieci, a my tułaliśmy się po służbach.

Wielu spraw wówczas nie rozumiałem. Skąd zresztą mogłem zrozumieć, kiedy żyłem w ciemności i zacołaniu? Nawet czytać dobrze nie umiałem. Rodzice powiadali, że nie ma prawa do życia i pracy, że nie ma chleba dla dzieci. W 1930 roku wyemigrował do Niemiec na roboty. Tam pracował przez trzy lata na niemieckich obszarach i ich dzieci, a my tułaliśmy się po służbach.

Nieraz myślałem, czy bogaczowi ziemia daje mądrość? Bo mówiono: bogaty, to i mądry. Dziwne to było, ale przynajmniej rację: wszak we wsi nikt z biedniejszych nie był sołtysiem, tylko najbogatszy; tak samo wójtom, członkiem rad kościelnych, na stanowiskach w gminach i innych urzędach.

Taka była kultura rządów sanacyjnych. Bogacz, ksiądz z wójtom, spekulant i „dobrodzieje” różnej maści i kalibru — radzili, w jaki sposób zdzierać skórę z biednego chłopca aż do krwi. Taka to była cała władza burżuazyjna. Nikt wtedy nie dyskutował z chłopem i robotnikiem nad projektem konstytu-

cji, czy ordynacji wyborczej. Nikt się nie pytał, czy podoba mu się ordynacja, czy nie. Nie pytali też chłopca, czy robotnika, w jaki sposób polepszyć jego byt. Nie mieliśmy prawa mówić o tym, że z każdym rokiem było nam coraz gorzej.

Pamiętam dobrze, jak wtedy do nas przemawiano. Proboszcz jarciniński parafii mówił „o woli Bożej, która natchnęła łaską boską bogaczy. Jak z natchnienia Bożego

stali się bogatymi, gdyż są bogobojni i wszystko cierpliwie znoszą”. I jak każdy z nas, biednych, może stać się bogatym, „o ile będzie cierpliwie znosił wszystkie krzyże i cierpienia”. Słuchałem tych słów, a jeśli mi się chciało, aż mnie w bruchu kłuło. Wokół stały kobiety bosymi nogami na posadzce i pociągaly nosami na tę mowę „o kochaniu bliźniego jak siebie samego”.

W 1935 r. odbywały się wybory do Sejmu. Obszarnicy mówili o parcelacjach, o reformie rolnej. Obiecywali gruski na wierzbie: jeździli,

ERNEST BRYLL

DO RÓWIEŚNIKÓW

Temperatura serca rośnie,
Czas zastarały grunt przeorać,
Ona mi każe towarzysze
Powiedzieć dziś Wam mój życiorys.

O komunizmie w mleku matki
Nie będę ćwierkał słówek słodkich.
Światopoglądu nikt nie dostał
Dzieckiem w kołysce, jak grzechotki.

Wy dobrze wiecie jak przesądów
Chomąto, trudno z karku zrzucić —
Był czas, gdyś dotknął błędną stopą
Drogi do wrogów rewolucji.

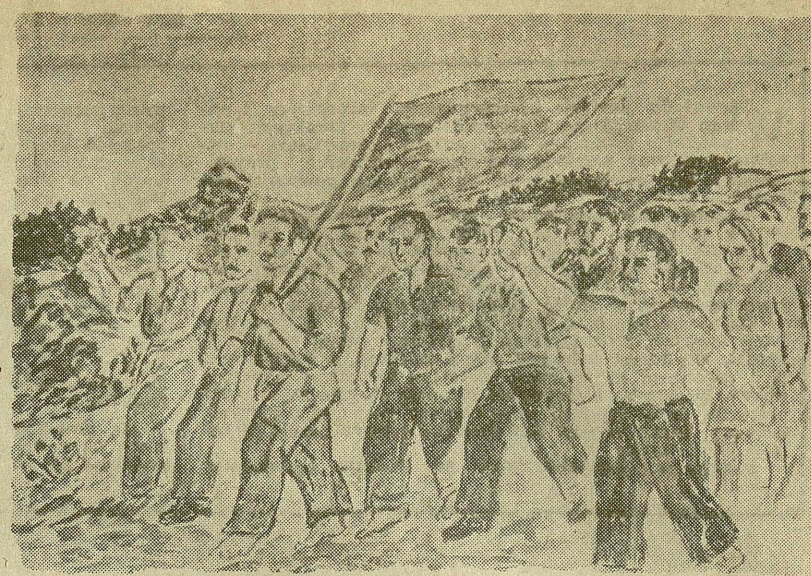
Ciężko nawyków mur przełamać
Kamienie się opornie kruszą,
Nieraz swe myśli w bólu skrawisz
Zanim odnajdziesz drogę słuszną.

Dojść tutaj wyście mi pomogli,
Nic mi nie spadło miana z nieba,
Do twardej rzeźby mego życia
Żadnych retuszy nie potrzeba.

Ja nie z tych, co jak w puszcze konserw
W główkach im tylko cyfry, daty —
Marksizm z krwią w serce trzeba wtoczyć.
A nie zasłaniać się cytatem.

Żyć tak jak człowiek rzecz nielatwa
Trudno jest wgrzyźć się w szczęścia twierdzą
Kiedy w ataku będę słabnąć —
Wy mi podacie dłoń i serce.

Przez grudę zwątpień coraz szybciej
W przyszłości pędzimy naszym wiekiem,
Ja Wam dziękuję towarzysze,
Żeście pomogli być człowiekiem.



„Z dni buntu i gniewu” rysunek, przedstawiający manifestację chłopską z 1936 r. — wykonał Jan Janusik, 20-letni zetempowicz, aktywista świetlicowy ze wsi Cieklin w pow. Jasto.

widział, że władza jest w ręku chłopów i robotników.

Tego roku opuściłem swą biedną, na wpół spaloną wioskę Majdan Golczewski i wyjechałem wraz z całą rodziną na ziemie zachodnie w pow. Sławno, gdzie poczułem się tak, jakbym się tu urodził.

Dziś u progu 10-lecia Polski Ludowej nasza Partia i nasz Rząd zapraszają braci chłopów razem z robotnikami do wielkiej dyskusji przed II Zjazdem Partii. Chłopi na wet z zapadłych wsi jadą do Warszawy i do miast wojewódzkich na różne narady i dyskusje ze swoimi władzami. Bo nasz Rząd radzi się nas w jaki sposób gospodarzyć, aby było nam coraz lepiej żyć, aby było po dostatkim chleba i wszystkich dóbr dla wsi i miast.

Dziś nie cierpię już głodu, nie całuję rączek pani dziedziczki, księdza, kulaka i innych dręczycieli naszego ludu. W Polsce Ludowej jestem wolnym człowiekiem. Pracuję w państwowych gospodarstwach rolnych na terenie zespołu Ostrowie. Czuję się pełnowartościowym obywatelem swojego kraju, obywatelem, który decyduje o losach swoich i narodu.

Wszystko zmieniło się w naszej ojczyźnie. Władza ludowa daje pra-

wo do życia kulturalnego i dopomaga chłopom na każdym kroku. Moi rodzice nie martwią się, jak nas nadziela ziemia i jak będziemy żyć, bo ziemi jest dosyć. Dziś nie szuka się córek bogaczy; szuka się dziewcząt dobrych i uczciwych.

Nigdy nie myślałem, że tak zmieni się moje życie. Nie myślałem też, że czeka mnie awans społeczny.

W 1950 roku ukończyłem 3-miesięczny kurs hodowlany, a w 1952 roku drogą awansu społecznego dyrektora zespołu i Komitetu Partii wysłały mnie na 8-miesięczny kurs sanitarny weterynarii do Łodzi, gdzie ukończyłem naukę z wynikiem dobrym. Jestem bardzo wdzięczny Rządowi ludowemu, że mi dopomógł zmienić dawne narzędzia pracy na nowe. Dziś, zamiast cepem — postępuję się środkami, którymi mogę leczyć chore zwierzęta. Potrafię też umiejętnie i racjonalnie układać paszę dla bydła, doglądać czystości w oborach i chlewniach.

Nigdy moi rodzice nie marzyli, żeby ich syn — ten dawny łachmaniarz — mógł być odznaczony Krzyżem Zasługi. Nigdy sam o tym nie marzyłem i nie myślałem, że potrafię na taki zaszczyt zasłużyć swą pracą korespondenta, pracą fizyczną i społeczną. Rodzice mówili, że bym chociaż z wojska umiał list napisać, a dziś potrafię napisać do redakcji i do innych urzędów.

Władza ludowa daje nam wszystkim prawo do nauki i do pracy. Nie brak na wsi chleba i szkół dla chłopskich dzieci — nie tak, jak dawniej, kiedy dziecko musiało marować swe młode lata i paść latem bydlu u bogaczy, a zimą siedzieć na piecu, bo nie było w czym chodzić do szkoły. Zaden ojciec nie zostawił już swych dzieci i rodziny, nie wyemigruje do obcego kraju za chlebem i zarobkiem, bo ma go w swojej ojczyźnie pod dostatkiem.

Wiele rodzin chłopskich wyszło z takiej samej nędzy, jak ja i dziś żyje szczęśliwie. Spełniły się marzenia naszych dziadków i ojców.

My robotnicy i chłopcy jesteśmy dumni i szczęśliwi, że żyjemy w czasach wielkich historycznych przemian dokonujących się pod przewodnictwem Partii.

Franciszek Śnieg

PGR Smardzewo, p-ta Ostrowiec pow. Sławno

WIESŁAW NOWAKOWSKI

SEKRETARZE



Rys. Mikołaj Pontus

I.

PŁOCATEK sprawy był na prowincjonalny sposób banalny, bo i też działo się to w Łączu — parterowej osadzie, do której nawet nie dojeżdżają pociągi.

Dwa lata temu, wiosną 1951 roku, żona sekretarza Komitetu Gminnego partii, Krawczykowa Franciszka, odebrała list. Drugi, a co najwyżej trzeci raz widziała swoim imieniem adresowaną kopertę. Rozzerwała ją ze złymi przecuciami.

„Szalone i Droga Pani Krawczykowa!”

Piszę, jak kobieta do kobiety, w zaufaniu i nadziei, że Pani mnie dobrze zrozumie.

Pani ma Stanisława i ja kochamy się nade wszystko na świecie i tylko Pani stoi naszym szczęściu na przeszkodzie. Błagam, niech Pani tego listu nie pokazuje Staszko. Gdyby się dowiedział, że piszę, poganięwałby się na mnie, a przed Panią się i tak uszykuję wyprze. Za bardzo jest przywiązany do synów, by się odważył Panią rzucić, chociaż ja z nią niechęć-

liwy. Bardzo mi się i cierpi, bo Pani jesteście od niego na dużo niższym poziomie. Stanisław nie ma o czym z Panią nawet rozmawiać. Woli w swojej kancelarii do nocy czytać gazety i książki niż znajdować się z Panią pod jednym dachem. Wieczory, które może spędzić ze mną w Zrebach nazywa swoimi szczęśliwymi godzinami. O tym już wszyscy w Łączu wiedzą. Zwracam się z tym do Pani nie we własnym interesie, bo jak wszystkie kobiety umiem się poświęcać, ale chodzi mi o Staszka. Wiem, że Pani go kocha i nawet może nie zdaje sobie sprawy, jak go unieszczęśliwia. Stach się przy Pani marnuje, nie może rozwijać swoich naprawdę wielkich zdolności.

Przecież kocha Pan Stanisława i nie chce mu wiązać rąk i unieszczęśliwiać kochanego człowieka. Jest Pani na tyle młoda, że jeszcze może sobie inaczej ułożyć życie... Na Pani miejscu już dawno bym wyjechała, zostawiła Stachowi wolność i synów. Niech robi co zechce.

Jeśli chodzi o mnie gotowa jestem od dnia Pani wyjazdu nie widywać się więcej ze Stachem, chociaż i mnie nie przyjdzie to łatwo! Serdecznie życzywa

Teresa Zabłocka — nauczycielka ze Zrebów.

Franciszka przeczytała i nie od razu pojęła o co naprawdę w liście chodził, tak była zaskoczona jego treścią. Kiedy zrozumiała, rozpłakała się z beznadziejności. Gdyby ta Zabłocka mieszkała w Łączu, Franciszka pobiegłaby — z miłością, czy tak, z pazurami tylko — nauczyć „wydrę”, że nie wolno odbierać żonie męża, a dzieciom ojca. Większa służąca i łopacz z gminnej cegielni pobrali się z miłością. Zbyt byli ubodzy, by inne powody mogły wejść w rachubę. Zaraz po weselu Stanisław wyjechał na Śląsk szukać lepszego zarobku. Gdy znalazł odpowiednie mieszkanie, ściągnął żonę. W Katowicach — Franciszka urodziła dwu synów, wychowywała ich i pilnowała domu, w którym Stanisław przebywał rzadko, bo dużo pracował. Wychodził

rano do fabryki, a wracał w nocy. Popołudnia i wieczory zabierały mu zebrania i kursy.

Przeżyli tak pięć lat. Z każdym tygodniem znali się mniej niż w dzień ślubu, ale nigdy nie było różnicy czasu, by się nad tym zastanowić, rozpatrzyć w przemianach.

Dopiero w Łączu — dokąd Krawczyk został pół roku temu przeniesiony — w małżeństwie zaczęło się coś psuć.

Najgorsze były cztery ostatnie miesiące, od kiedy Stach przynajmniej na dwa dni w tygodniu wyjeżdżał do Zrebów. Opowiadał Franciszce, że zakłada tam pierwszą w gminie, a druga w powiecie spółdzielnię produkcyjną. Szło mu jakoby ciężko. Skarżył się na powiat, że nie pomaga, stąd konieczność częstych wyjazdów.

Budziochowa pierwsza otworzyła Franciszce oczy, że „nierówne położony” z pouczeń Krawczyka to nie innego — tylko miłość Stanisława do nauczycielki Zabłockiej ze Zrebów. Franciszka długo wołała nie wierzyć przyjaciółce ale list nauczycielki potwierdził mądre przewidywania sąsiadki. Dlatego Krawczykowa — nie wiedząc, co należy czynić, do kogo się zwrócić o pomoc, jak walczyć o utrzymanie męża — pobiegła z listem szukać rady właśnie u Budziochowej.

II.

Sprawę rozkładu moralnego towarzysza Krawczyka — tak w Komitecie Powiatowym partii nazywali miłość Stanisława i nauczycielki — referował na posiedzeniu egzekutywy KP pierwszy sekretarz Wincenty Losiński.

Przed niecałym rokiem Losiński miał spore przykrości. Zawistne i wściekłe plotkarki wypatrzyły go, jak po północy wychodził od dziewczyny. Dziewczyna pracowała w Prezydium PRN. Była bardzo ładna, a sekretarz miał starą i brzydką żonę. Wszystko to razem wystarczyło na kilka długich i bardzo żmudnych samokrytyk. Kiedy więc dowiedział się od Krawczykowej i Budziochowej o miłości Stanisława i otrzymał list Zabłockiej, jako ważny dowód rzeczowy, zadbał przede wszystkim o to, by mu nikt nigdy nie mógł zarzucić — wypływającej z własnych błędów — pobłażliwości dla Krawczyka. Działal energicznie i

postanowił być pryncypialnie surowy. W dwa dni zbadał osobiście sprawę. Przyjechał do Łacza ale Krawczyka nie zastał, bo ten znów był w Zrebach.

Przewodniczący Gminnej Rady Budzioch i wiceprezes GS-u Wróbel potwierdzili opowiadanie kobiet. Również komendant posterunku MO stwierdził, że w gminie ostatnio dużo się mówi o miłości Krawczyka i Zabłockiej.

— Dodatkowo — zdaniem Losińskiego — obciążały Stanisława okoliczności sprawy. Krawczyk do budowy spółdzielni produkcyjnej w Zrebach zabrał się wbrew radom towarzyszy z powiatu.



Rys. Mikołaj Pontus

Zreby znane były z politycznej ośpałości mieszkańców i polbrze prowadzonych, zamożnych gospodarstw. Uchodzący w powiecie za trudną gromadę. Byli starannie omijani przez aktywistów.

Krawczyk na odprawach udawał, że chociaż nie pójdzie łatwo, nie wolno poddawać się opinii, bo gdyby się w Zrebach udało, przykład rozszedłby się szeroka falą po okolicy. W zapasie miał sporo przykładać z różnych akcji, kiedy mieszkańcy Zrebów — zarówno w do- brym jak i złym — łatwo znajdowali naśladowców w sąsiednich gromadach. Zdania swego trzymał się,

uporczywie i nie dał się odwieść od swoich zamiarów.

Upór — najważniejszą z cech Stanisława — brali w powiecie za wygórowaną ambicję i chęć imponowania. Nie zakazali mu ale też i nie pomagali pracować w Zrebach. Jak chce być mądrzejszy od wszystkich, niech pokaże co potrafi...

Teraz, kiedy wypłynął list Zabłockiej i ta cała historia z miłością, dla Losińskiego stały się jasne prawdziwe źródła tego nie całkiem wytłumaczalnego dotychczas obstawania przy swoim zdaniu.

Przedkładając egzekutywie sprawę Krawczyka i jego miłości, Losiński postawił wniosek: kara partyjna II

Okazało się, że Losiński w pośpiechu zapomniał o tym, a że należało do ludzi, którzy fakty szanują tylko wtedy, gdy potwierdzają wymyśloną koncepcję, wystarczyły mu potwierdzenia Wróbla, Budziocha i Siewierskiego.

Ktoś drugi zauważył, że historie upadku poprzedniego sekretarza w Łączu Siwskiego, też ma wiele wątpliwych i niejasnych miejsc, w rezultacie dyskusja — jak zawsze zresztą przy sprawach personalnych — wlokła się długo, a już całkiem nie po myśli Losińskiego.

Późnym wieczorem zapadła uchwała: w sprawie Krawczyka egzekutywa wyda ostateczną decyzję po dokładniejszym zbadaniu sprawy przez Komitet Powiatowy, a do czasu tej decyzji Krawczykowski nie wolno jeździć do Zrebów.

Zakaz wyjazdów był osobistym zwycięstwem Losińskiego, który uzasadnił go koniecznością odizolowania Krawczyka od Zabłockiej, a co za tym idzie, uniemożliwienia im porozumienia się w sprawie listu.

III.

W Zrebach — nie zapomnijmy, że była to wiosna 1951 roku — od czterech miesięcy trwała kłótnia wokół spółdzielni produkcyj-

Od dłuższego czasu egzekutywa KP zbierała się po to, by uchwa-

(Ciąg dalszy na str. 7.)

BARBARA SEIDLER

TRAKTOR Z „URSUSA”

PIERWSZOMAJOWY dzień 1947 roku wstawał powoli, otarł się z mgły. Ludzie w „Ursusie” nie spali. Nikt prawie nie poszedł tej nocy do domu. Wszyscy chcieli pomóc montażystom, aby — tak jak było wypisane w uroczystym zobowiązaniu — dwa pierwsze polskie traktory mogły pojechać na warszawską defiladę. Wśród roboczych stanowisk można było tej nocy spotkać ludzi z mechanicznego i z narzędziowni, ba, nawet urzędniczek z biur.

Wskazówki zegara, na które wiele razy podnosiły się oczy robotników, wskazywały dziesięć minut po ósmej, gdy otworzyły się drzwi hali i dwa nowe, lśniące traktory Nr 1 i Nr 2 wyjechały na dziedzińce fabryczny. „Ursus” obchodził swoje wielkie święto.

Był kwiecień 1949 roku. Zielona wiosna zdążyła się już otarnąć z pluchy i błota. W „Ursusie” montowano właśnie 1700-ny traktor. Sylwek Stepiński, młody, żywy chłopak, który na halę montażu odbywał jeszcze szkolną praktykę, kłębł się po warsztacie jak fryga. Wyszukiwał narzędzia i biegł z nimi na stanowisko podwozia do Wacława Naziebro. Nosił narzędzia w fartuchu, wózków jeszcze nie było. Młody był, niewykwalifikowany, toteż za słusne uważał, że by on od maszyny odszedł, niż słuszar „pełną gębą”. Mało jeszcze było wtedy słusarzy w „Ursusie” — montażowcy na ręce im patrzyli, czekali na narzędzia. Czekali i Naziebro, robotnik z podwozia. Poganiał Sylwka, pod nosem burczał i ogromnym kluczem dokręcał śruby.

Traktor 1700 powoli posuwał się w stronę bramy wyjściowej. Jechał wzdłuż hali, przybierało mu części, przybierała na wadze. Wreszcie — 23 kwietnia — stanął na dziedzińcu fabrycznym. Przyszli jeszcze dwaj roześmiani chłopcy i przykrecili na masce nowego „Ursusa” metalową tabliczkę: „Ciężar własny 3675 kg.”.

Potem administracja zgłosiła traktor w „Motoryście”, zaraz go tam wpisali w odpowiednią rubrykę, przejeżdżał zamówienia, rozdzielni i wysłano do SOM-u w Gąbinie depesze: „Traktor do odebrania w „Ursusie”. Nie minęło dwa dni, a już przyjechali po niego z SOM-u. Fabryczny strażnik podniósł szlaban i traktor nr 1700 opuścił zakłady. Prowadzony jeszcze trochę niepewnie — jechał podwarszawską szosą na wieś mazowiecką.

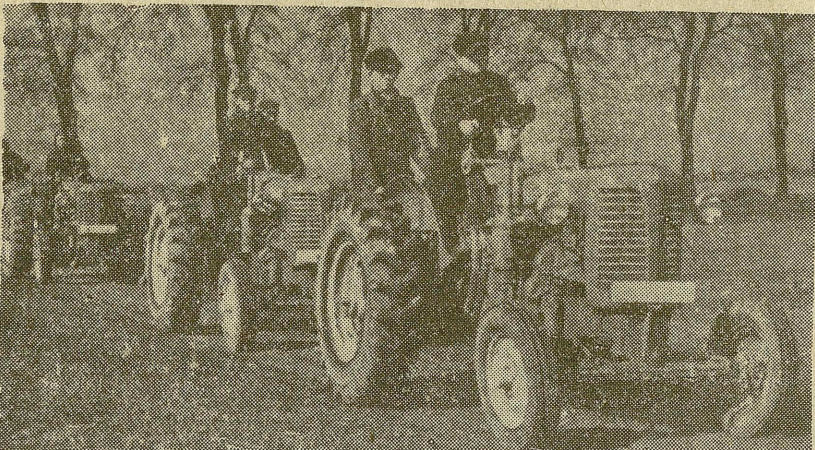
Jechał — ziemi na służbę, chłopom na pomoc.

Minęło blisko pięć lat. Trudno doprawdy poznać, że ta stara maszyna, od której poodpryskiwał lakier — to ten sam zielony traktor, który w kwietniowe południe opuszczał zakłady „Ursus”. Stoję i patrzę na maszynę, którą co wieczór z taką pieczołowitością ustawiają pod niewielkim drewnianym daszkiem spółdzielni Kamieniec.

Sterany traktor — mówię nieopatrnie.

— A co byście chcieli? — tłumaczy jeden przez drugiego. — Toć ponad 7 tys. km. przejeździł. I po kapitalnym remoncie już jest. Narobił się, narobił, chudziina...

To określenie „chudziina” zabrzmiało jakoś dziwnie w zestawieniu z blisko 4 tonami żywej wagi, więc wszyscy spojrzeliśmy po sobie.



bie, a Komar zaczął klepać traktor po masce, tak jak klepie się konia, i raptiem zaniósł się żarliwym śmiechem.

— Jak koczoluch wygląda, to prawda — mówił — ale przecież dobrą zrobił na wsi robotę.

POM w Lwówku powstał w końcu 1949 r. Pierwszym traktorem, który przybył na nowe gospodarstwo był właśnie traktor 1700. Przekazał go POM-owi gabiński SOM. Zaczął na nim jeździć Górski. Potem Górskiego powołano do wojska, wstąpił do szkoły oficerskiej. Do rodzinnej wsi przyjeżdżał teraz tylko na urlop. Ale Górski, odchodząc do wojska, zostawił na swoje miejsce poduczonego już nieźle, Błażeja Komara. Komar egzamin zdał — i został traktorystą.

POM się w międzyczasie rozrósł. Traktorystów podzielono na brygady. Brygady stacjonary każda w innej wsi — żeby bliżej na pola było, żeby czasu na dojazdy nie marnować. Rósł POM, przybywało traktorów, już nie tylko spółdzielcze pola można było obrabiać maszynami. Starczało ich i dla indywidualnych chłopów. W 1952 r. POM zaczął podpisywać umowy z

okolicznymi gospodarzami. Najpierw zgłosił się jeden, potem drugi i trzeci, a w lecie przychodzili już całe długie listy z kilkunastoma podpisami do Lwówka.

Na pola indywidualnych chłopów wysyłano przeważnie „Zetory”. Bo mniejsze, bardziej zwrotne i łatwiejsze do prowadzenia na krótkich odcinkach.

Komar pracował wtedy w spółdzielni, w Kamieńcu. Ale któregoś dnia zgłosił się do dyrektora w Lwówku, że chciałby ze swoim traktorem do indywidualnych gospodarzy. Prawda, że „Ursus” za ciężki, niewzrotny... Ale onka u indywidualnych gospodarzy to robota polityczna i on, Błażej Komar, chciałby w niej wziąć udział.

— Dobry traktorysta — powiedział dyrektor — dba o maszynę.

Chcesz, jedź. Ale pamiętaj, na małym poletku ciężko orać... I „Ursus” — 1700 pojechał na pola indywidualnych chłopów. Odrał w Krubinie — u Wasiaka, Serwy i Ziela, w Radycy — u Trębacz, Kłębka i Pietrzaka, oraz w Kazimierkowie u Pawlika i Szafara, orał wreszcie w Helenowie u Kurka, Kosajdy i Garstki.

Byłoby to zbyt proste, gdybyśmy traktorowi i traktoryście, którzy pracowali na polach indywidualnych chłopów przypisywali, że większość tych gospodarzy dlatego wzięła czynny udział w organizowaniu komitetów założycielskich spółdzielni. Byłoby to zbyt proste i nieprawdziwe. Ale przecież w tym, że w ciągu ostatnich dwóch lat ilość spółdzielni wzrosła trzykrotnie, że powstały komitety założycielskie w Radycy, Krubinie i Helenowie, a 16-tu chłopów z Kazimierkowa wstąpiło do spółdzielni w Kamieńcu — w tym na pewno znajduje się część pracy traktora nr 1700, ludzi, którzy ten traktor w „Ursusie” zrobili i traktorysty Błażeja Komara.

Więc gdy tak stoimy wokół steranego traktora, gdy myślimy o tych przejechanych 7-miu tys. km,

gdy przypominamy sobie jak to chłopci wstępujący do kamienieckiej spółdzielni mówili, że idą do spółdzielni, bo tam są traktory — wybaczymy mu ten odprysnięty lakier, pogiętą maskę i brudne opony.

A Komar mówi: — 4720 km. przejeździł do kapitalnego remontu. 10 miesięcy temu silnik mu zmienili, podregulowali go i już zdążył zrobić 2 tys. km. A chodzi, jak...

Komar wskoczył na siodełko, wczepił się w kierownicę, pociągnął rączkę biegów. Silnik ryknął, zakreślił się oblepione tłustą gliną opony i nagle traktor — jakby podparty silnym ramieniem — ruszył z miejsca. Wolno, kaczym chodem, kolebiąc się na nierównościach gruntu maszyna pędziła po podwórku, wyjechała na drogę...

Patrzyliśmy jak się oddalała, miarowo pulsując motorem, jak ciężko pracowała na zakręcie — jak wreszcie zniknęła za wzgórzem. Pojechał na dalszą służbę ziemi.

Blisko pięć lat minęło od chwili, gdy traktor nr 1700 wyjechał za bramę „Ursusa”. Młodziutkiemu Sylwowskiemu Stepińskiemu przybyły cztery lata. Awansował — jest kierownikiem lakierni. Przychodzą teraz do niego robotnicy i mówią „towarzyszu kierowniku”. A Sylwek biega, załatwia. Jest taki sam: żywy jak był — fryga. Aha, jeszcze coś... pewna młoda dziewczyna, bardzo ładna szatynka, absolwentka szkoły zawodowej w Ursusie zmieniła swoje panińskie nazwisko na Stepińska.

A nasz stary znajomy Wacław Naziebro? Również awansował. Ze zwykłego robotnika na brygadzystę, potem na mistrza. Jest też przewodniczącym Rady Zakładowej. I dziadkiem. Tym ostatnim został 2 miesiące temu. Wnuczka podobna jest do zięcia. Chowa się bardzo zdrowo.

A fabryka? Rozrosła się. Skoczyła w górę produkcja. Setki traktorów opuszczają co miesiąc hale montażu. Niedawno — 5 stycznia — z „Ursusa” wyjechał 25-cio tysięczny traktor.

Byłam w „Ursusie” gdy szlaban przy bramie fabrycznej podniósł się przed 25-cio tysięcznym traktorem. Byłam w „Ursusie” w ten mroźny dzień styczniowy i myślałam o innym dniu, o którym minęło już tyle lat. Myślałam o dniu 24 marca 1919 roku o słowach Lenina:

„Gdybyśmy mogli dostarczyć jutro 100 tysięcy pierwszorzędných traktorów, zaopatrylibyśmy w benzyne, zaopatrylibyśmy w maszynistów (wielec-dokonałe, że na razie jest to fantazja), to średniak powiedziałby: „Jestem za komuną...”.

Barbara Seidler

BOGUSŁAW KOGUŁ

BYŁEM W JEGO KRAJU

(Fragment większej całości)

Ja byłem w Jego Kraju — chodziłem ulicami, co przechowały dźwięk i ślady Jego stóp. Drogi jednakże wszędzie — płaski w chodnikach kamień, a przecież tam inaczej tętni pod krokiem bruk.

Ja byłem tam, widziałem pogodę w ludzkich twarzach w kształt niebotycznych domów wcieloną ludzką dłoń, matek nadzieję dumną, pewność spełnionych marzeń, spokojną wiarę w człowieka. Ta wiara to był — On.

Ja byłem tam, słyszałem śpiew serdeczny i prosty, pół żywych pieśń dojrzałą — ziemi obfity plon, słyszałem śmiech codzienny ludzi jak ja — dorosłych, w dziecięcej piosnce miłość, Ta miłość to był — On.

Poetów słowa mocne słyszałem w stu językach, od łanów Ukrainy po tajgi Jakuckiej żrąb — potrzebną ludziom na codzień jak napój czystą muzykę, i prawdę w śpiewie i w mowie. A prawda to był — On.

*

Huczy głośnie potarganym szeptem, jedno słowo, straszne słowo: zmarł. Umilkł zegar. Nie dzwoni jak przedtem zanim krzyk ten ciszę z nocy zdarł.

Nie ukryjesz oczu zapłakanych, nie uciszysz krzyku drżących warg, chwil nie cofniesz — i nic się nie stanie co by mogło zmienić prawdę: zmarł.

Nie zagłuszysz żałobnego werbla — nawet cisza będzie na nim grać. Śmierć jest jedna — i prawda jest jedna.

Nadaremnie tłumisz w piersi płacz. Myślisz śmierci własnej w oczy patrząc nie wiedzieli co to żalu gest, lecz tej nocy najtwardsi zapłaczą i nikt z nas się nie powstydi łez.

Całym globem ta boleść zatarga, serc miliardem wstrząśnie męzny płacz. To nie lament — to przysięga twarda, że będziemy przy sztandarze trwać.

Nas ta boleść z męstwa nie rozbroi dróg nam naszych nie przesłonia łąz. Stalin uczył — Partia jest ostoja, Partia siłą. A Partia — to my!

— rozpoczęli w tym dniu nowe życie.

„Wyzwolenie” — nazwa spółdzielni, była symbolem tego, co dokonało się w Ostrowie, co dokonało się w każdej rodzinie spółdzielczej — również w rodzinie i życiu Moczyńskiego. Odczuwał to teraz wyraźnie, kiedy wracali z żoną do domu. Czuli w sobie ulgę i radość, jak ktoś, kto dokonał trudnej i ciężkiej pracy. A dokonał dzieła wielkiego, jak Cyryl. Zwyklieli w sobie to wszystko co zagradzało mu ścieżki, którymi mógłby dojść do drogi Żdankina. Wzbierała w nim teraz chęć działania, przybliżenia swą pracą wspólnych zamierzeń swojej wsi. Wydało mu się, że siły jego ustokrotniły się siłą spółdzielczej gromady.

Postanowił włączyć się do pracy partyjnych nad politycznym umocnieniem spółdzielców i gospodarczych umocnieniem spółdzielni, aby osiągnięciem zespołu przekonać pozostałych indywidualnych do nowego gospodarstwa. Liczył na jego pracę organizacja partyjna.

— rozpoczął w tym dniu nowe życie.

Co kilka godzin w naprężeniu przekraczał galkę aparatu radiowego, oczekując komunikatu a w nim choć nutki nadziei. Nie było jej. Ich ciche szczęście, przywrócone tak niedawno — jak niedługo Słyszcy i Cyryla — teraz zdawało się być zachwiane, podważone... Przecież to właśnie on sprawił, że...

To było nie do zniesienia. Moczyński zamknął radio, ale nagła cisza pogłębiała jeszcze bardziej to, co targało nim całym, to co czytał na twarzy żony.

Aby nie opuścić następnego komunikatu, drżąca ręka znowu przekraczała galkę.

W końcu, to czego nie dopuszczali nawet w myślach, przyszło na falach eteru.

Moczyński po raz pierwszy przeżył taki dzień. Dzień przemysłu nad tym, ile on dla nas znaczył, czego dokonał dla świata i jego rodziny. Widział go teraz już nie tylko oczyma Słyszcy i Cyryla ale własnymi, bo własne życie przypominało do idei, której Stalin słuszy i zwycięsko wcielił w życie.

Dokonywał obrachunku tego, co w swoim życiu już naprostował — i stawał przed sobą zadania, których wykonania czuł beznamiętną potrzebę.

Nazajutrz — 6 marca — na otwartym zebraniu gromadzkiej POP poprosił o przyjęcie do Partii. Bolesław Moczyński wstąpił w tym dniu na szeroką, bezkresną drogę Cyryla Żdankina... Na swoją drogę.

Tadeusz Jasiński

TADEUSZ JASIŃSKI

DROGA CYRYLA ŻDANKINA

KIEDY Bolesław Moczyński poszedł pierwszy raz na szkolenie zorganizowane przez organizację partyjną i koło gromadzką ZSCh w Ostrowie — wysmiewał się:

— Co to, trzydziestka wchodzi już na plecy, a oni chcą mi w głowie wszystko poprzestawiać? Nie mnie już chwytac za książkę! Roboty przy gospodarstwie dużo, czasu na czytanie mało. Nie dla mnie już to. A zresztą swój rozum też przecież mam, niejednemu przeżyłem i widziałem, a on nie będzie mnie tu pouczał — myślał o kierowniku siedmioklasowej szkoły tw. Hincu, który wykładał zarazem na kursie.

A jednak, chociaż nikt go nie zmuszał — na szkolenie chodził. W szkole można było spotkać sąsiadów, pomówić z nimi o czym tylko dusza zapagnie, załatwić niejedną sprawę: a to przynaglił kowala Serockiego, by wcześniej naciągnął szyny na koła u wozu, a to uzgodnić z Liczmańskim, kiedy będzie mógł pożyć od niego wialni — i wiele, wiele innych spraw. Lubił też wiedzieć co nowego dzieje się w świecie, co słychać w polityce.

Jesienne miesiące 1951 roku minęły szybko. Chociaż zima podobna była jesieni — inna już na kurse panowała atmosfera. Tow. Hinc zaczął łączyć historię wsi gospodarskiej z paroboczną: ze strajkami robotników folwarcznych i fabrycznych, z działalnością bohaterów KPP i wspólną z chłopami walką klas robotniczej przeciw sanacji. Mówił także o trudnej, lecz pięknej drodze ludzi radzieckich, o niełatwym, pełnym wyrzeczeń, ale twórczym życiu w Polsce Ludowej, o sprawach wojny i pokoju, o polityce światowej.

Zainteresowanie u słuchaczy rosło z każdym wykładem.

Wielu jednak spraw Moczyński nie mógł jeszcze zrozumieć, inne chciał poznać głębiej. Zazdrościł czasem teściowi Gzikowi i innym członkom Partii ich łatwości dyskusowania o sprawach, które dopiero poznawali, ich — jak mu się zdawało — „uczoności”. Toteż Ignął do nich coraz bardziej, żądnym rozmów z nimi. Widział w nich teraz nie tylko bliskich sąsiadów, ale coś więcej — Partię.

Ten głód wiedzy, dotąd niczym nie zaspokojonej, cieszył tow. Hincę. Podsuwał więc słuchaczom coraz to inne broszury i książki.

W Moczyńskim, kiedy czytał „Zorany ugor”, kłóciły się sprzeczne ze sobą uczucia. Żal było mu jeszcze rozkulaczonych, ale był już pełen uznania dla zrównoważonego Dawydowa. System kolchozowy i spółdzielczy napawał go nie usada-

niłą bliżej obawą a równocześnie porwałą. Przysięgał sprawy znać koczającego Donu do ostrowickich, pomorskich — a one, mimo odległości pasowały. — Walka klasowa w treści jest ta sama, chociaż metody kulaków różne. Rozumiał sprawy swojej wsi i chętnie nadstawiał ucha w sprawach spółdzielni. Nie mógł się oprzeć stałej niezmienną postawie przodujących sąsiadów w swojej wsi. Komu, jak komu, ale takim, jak tow. Groniek i tow. Hinc, nie mógł nie wierzyć.

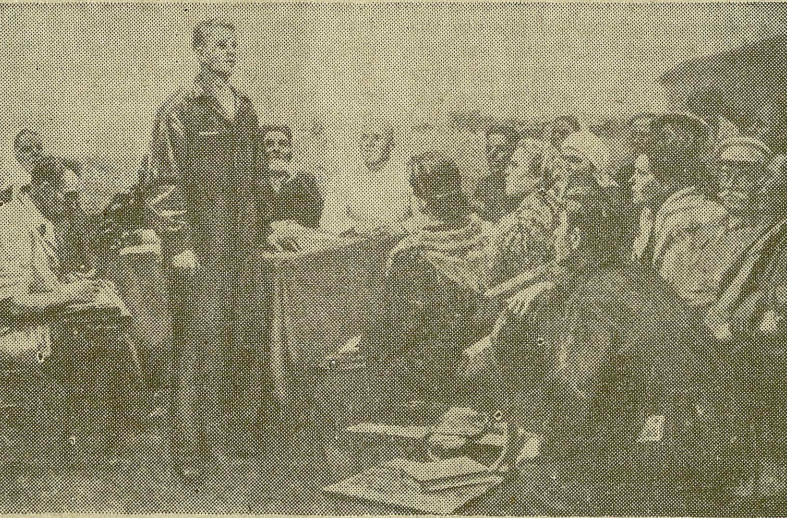
Namiętnością wprost chorobliwą stały się teraz książki. Czytał jedną po drugiej, mimo prac w polu i przy gospodarstwie. Minęły się wiosenne 1952 roku, zebrano już żniwa, zbliżały się siewy jesienne, wykopy — a z nimi jesienno-zimowe miesiące szkolenia — wyższe niż poprzednio stopnia. Rok ten upłynął Moczyńskiemu szybko i korzystnie. W domu zjawiały się gazety, książki i... radiodiodniomiki „Pionier”. Znajomość jednych spraw budziła ciekawość do innych, nowych — nie poznanych jeszcze. Na półce pojawiły się nowe broszury polityczne, potrzebne do szkolenia, ale przecież najwięcej miejsca zajmowały powieści. „W Grzmieci” Kowalskiego oraz „Kordian i Chłam” Kruczkowskiego przedzieliły były „Poradnikiem Rolnika” i książką „O sadownictwie” od powieści Prusa, Orzeszkowej, Żeromskiego i Sienkiewicza. Obok stał oparty o „Szose Włokółską” Beka, „Zorany ugor”, z brzegu leżał jeden na drugim 4 tomy Panfierowa: „Bruski”. Szczególnie one — „Bruski” zajmowały mu teraz wszystkie wolne chwile. Moczyński nie mógł wyzволzić się spod uroku czytanej książki nawet wtedy, gdy pracował w polu. Jakoś „Bruski” przeżył go inaczej niż inne książki. Zbyt mocno zmuszały do zrewidowania dotychczasowego życia, zbyt wladczo narzucały i podsuwały nowe rozwiązania w jego osobistym życiu i życiu gromady.

Znajdował siebie w dorabiającym się w pojedynkę, nowoczesnie uprawianym ziemi Cyryla Żdankina, chociaż czuł już w sobie energię Stepana Ogniewa. Później bolął nad uwstecznieniem chorego Ogniewa, cieszył się natomiast z tego, że Cyryl potrafił w sobie stłamsić naturę dorobkiewicza i posiadacza i stać się społecznikiem, człowiekiem, który dźwiga kolchoz, doprowadza go do rozwoju, pokonując uprzednio wraz z kolekty-

wem, szkodzących spółdzielczemu gospodarstwu kulaków.

Z Cyrilem mógł się równać, dopóty, dopóki próbował wprowadzać nowoczesne sposoby uprawy ziemi na indywidualnym gospodarstwie. Cieszył się, kiedy Żdankin został kierownikiem partyjnym, działaczem „na skalę państwową”. Z przykrością jednak widział siebie daleko za nim, a przecież pragnął chociaż w części upodobnić się do niego.

Cyril stał mu się bliski przede



Mal. Wasyl Nieczajko. — Przyjęcie do Partii w czasie robót w polu

wszystkim dlatego, że autor pokazał go, jako człowieka, który miał życie niełatwe, upadki, z których się dźwigał, wloty poprzedzone rzetelną pracą, duszę rogatą, energię niespożyta i silną wolę. Nie dziwiło go wcale, że wokół Żdankina wyrastali nowi ludzie, jego godni następcy o różnych talentach i specjalnościach, bo moc oddziaływania tego bohatera odczuł również na sobie. Nie mógł — a właściwie nie chciał — wyzволnić się z nachodzących go po przeczytaniu „Bruski” niespokojnych myśli, podziwu i uznania dla gospodarki kolchozowej. Przyczyniały się do tego również rozmowy z sekretarzem Gronkiem i innymi członkami ostrowickiej POP PZPR. W ich sądach i działaniu znalazł praktyczne poparcie dla narastającej w sobie decyzji.

W okresie przedwyborczym, nie wiedząc nawet kiedy — po prostu z własnej potrzeby — wraz z członkami Partii i innymi aktywistami Frontu Narodowego przybliżył gorącym słowem program Partii i narodu do swoich sąsiadów.

I znowu nie poznawał siebie. Tylko sekretarz Groniek, widząc to, uśmiechał się z zadowoleniem. On wiedział dlaczego.

— Dzięki Cyrilowi i jego żonie Słyszcy bliżej i bardziej znajomy stał mu się Stalin. Poznał go od tej strony, od jakiej dotąd nie znał — od jego troski o los i szczęście ludzi radzieckich, o pojednanie Cyryla i Słyszcy, o odbudowanie ich małżeństwa i szczęścia rodzinnego.

W tej szczerze trosce meża o jej rozwój polityczny i kulturalny, nie mogła nie dostrzec prawdziwej miłości i przyjaźni — tego niegasnącego uczucia, które zawsze ich łączyło w dobrym i złym.

Sama nie wiedząc kiedy, uległa prośbom i radom meża... Czytała — niewiele jeszcze, ale czytała. Wzbierała w niej ciekawość dalszych losów Kmicica i Oleńki. Zanimyła niepokój i bojaźń. Wracał spokojnie.

Chociaż ziemię pokrywał jeszcze śnieg słonecznego stycznia 1953 roku, Moczyński miał już pełną gębę projektów na nadchodzącą wiosnę. Czuli w sobie niespożyta energię, która gwałtownie szukała ujścia.

— Żeby móc tak, jak Cyril! Żeby tak żyć jak on...

Ciasno mu było w jego zagrodzie, ciasno na ziemi, obramowanej czerniejącą pod śniegu granicą. Przemyślał już wiele. Widział teraz wspinające się pod górę od szosy gasienicowe traktory, przeorujące pocięte jeszcze darniastymi niedziami pola spółdzielcze i uprawiających tę ziemię ludzi. Nie wydawało mu się teraz już dziwne, że wśród nich znajdował również siebie.

Kiedy 15 lutego — w ósmą rocznicę wyzwolenia Ostrowitego przez Armie Radziecką — zwolano zebranie założycielskie spółdzielni, poszedł na nie wprawdzie nie pierwszy, ale i nie ostatni. Usiadł w gromadzie 23 sąsiadów, którzy jak i on

LUDWIK MAJ

Praca kulturalna w gminie

RYSZARD KUBAT

Nauczyciele o młodzieży

AKTYWOWI POD ROZWAGĘ

Czyż książka nie wypiera zacytowania? Czyż nie uczy nowych sposobów pracy? Czyż nie rozszerza widnokręgu myśli, nie pobudza i nie hartuje do nieustępliwej walki o socjalizm?

Książka wyprowadza chłopca z getta własnego podwórka na szerokie gościnie współczesności i wspól-gospodarowania krajem, krzesza zbiorową inicjatywę i zapala do wyższego poziomu życia kulturalnego i gospodarczego.

Takie działanie książki życie potwierdza w tysiącach faktach.

Z tej oczywistej prawdy powinni wyciągać właściwe wnioski działacze terenowi.

A czy tak się dzieje np. w gminach Sierp i Sułkowice pow. myślenickiego? Członkowie prezydium GRN i sekretarze KG — gdy ich pytało: co myślisz o niktym czytelnictwie w tych gminach, machają ręką: „Przepracowani. Mamy ważniejsze sprawy. Skup zboża, plany rozwoju hodowli, kontraktacje”. A to właśnie praca odcierana od po-
głębienia własnej i współobywateli świadomości przy pomocy książki — spowodowała, że grunty te wloką się w ogonie powiatu przy rozwijaniu „gospodarczych trosk”. Niedostarczanie tak ważnego sojusznika, jak książka, odbija się ujemnie nie tylko na stylu pracy aktywów, lecz na całej robocie politycznej i gospodarczej.

W przeciągu 2-3 lat w mojej gminie zwolniono dyscyplinarnie ze stanowisk 17-tu aktywistów. Jedni odeszli za pijanstwo i kumoterstwo, inni za nierobstwo lub uleganie naporowi wroga. Czy mieli wszystkie dane po temu, by swoje funkcje dobrze spełniać? Jedno wiem: wszyscy byli „abstynentami” czytelnictwa. Nie posiadali więc broni, w którą uzbraja książka. Przy jej pomocy potrafili by w porę dostrzec penetrację wroga klasowego. Wnikliwie przeanalizowaliby trudności — i umieliby organizować pracę.

Tak się dzieje w gminie Wiśniowa, która produkuje w naszym powiecie. Przewodniczący GRN, tow. Obajtek, miłośnik książki — umiał wychować poprzez czytelnictwo żywoty aktywów. Często się słyszy: „nie ma aktywu — dlatego mamy trudności”. A przecież gotowy aktyw nie spada z nieba. Trzeba go zawsze wychować.

Dobrze prowadzona ofensywa kulturalna w gminie Łętownia upolityczniła setki pracujących chłopów. Teraz z własnego już poczucia obywatelskiego stają w pierwszych szeregach walki o plany gospodarcze, polityczne i kulturalne. Duże zasługi oddał w tej pracy bibliotekarz Franciszek Knapik. Lokal biblioteczny przemienił na „kwatery”. I stąd wybiegał z „amunicją” książek do domów — propagował, tłumaczył, zachęcał. 626 czytelników stanęło do 4-go etapu konkursu czytelnictwa. Proste chłopki, jak np. Katarzyna Kuśmider, czy Kołodziejczykowa z Łętowni, zorganizowały kolo gospodyń wiejskich i konkurs hodowlany.

Niemal jest takich kobiet, które przerosły już niedojrzałego „żelaznego” aktywistę w gminie Niepraw czy Pcin swoją świadomością i aktywnością. 60-letni gospodarz 2-hektarowy, Franciszek Wieher, który w



ciagu 6-ciu lat przeczytał około 500 tomów — znajduje czas nie tylko na dobre prowadzenie gospodarstwa (sam z żoną), bierze również czynny udział w radzie narodowej, w upowszechnianiu czytelnictwa i kole gromadzkim ZSL. Ofiarą, i pełną entuzjazmu pracą zmobilizował wielu pracujących chłopów. Krzyż Zasługi, który otrzymał na Centralnych Dożynkach w Szczecinie i wiele dyplomów uznania — świadczą o wielkiej roli książek, z których czerpał siłę, mądrość i ofiarność.

Maria Grabowska z Poznawy Górnich na 2,30 ha użytków, przy pomocy porad czerpanych z książek, doszła do bardzo wysokich wyników. Posiada dwie krowy wpisane do ksiąg zarodowych, jaiłówek i cielę. Cztery tuczniki sprzedadała w ramach kontraktacji w r. 1953, z maciory odchoowało się 27 sztuk prosiąt. Na cześć II Zjazdu postanowiła w bież. roku ponadobowiązkowo dostarczyć 410 kg trzody chlewnej, wychować 80 szt. prosiąt i dostawę mleka na rok bieżący wykonać do końca lutego.

„Dzięki literaturze pięknej Grabowska „zasmakowała” w czytaniu. Czytelnictwo rozszerzyło na książki fachowe. Wyczytane wiadomości rolnicze „praktykowała” na swoim, dostosowywała, aż osiągnęła wyniki. Jej słownictwo wzbogaciło się o nowe wyrazy, jak między innymi, popłony, wsiwki, pasze treściwe, objętościowe, zawartość białka, dawkiowanie itp. Każdy z tych wyrazów wskazuje „nowe” w gospodarowaniu. Podobnie dokształcał się Stanisław Kochan z Polanki (2,20 ha); przy pomocy książek i „Poradnika Rolnika” wysunął się on na czoło produkujących chłopów. Posiada dwie piękne czerwone krowy, owce, drób, króliki. W r. 1953 wyuczył 10 tuczników, każdy o wadze 150 kg. Osiem dostarczył klasie robotniczej w kontraktacji, dwa zabił dla rodziny.

„Bez książek fachowych i bez beletrystyki pięknej, nigdy bym nie uwierzył, że ziemia może dać potrojnę, a przecież sam tego dokonałem” — zwierza się sąsiadom, którzy nie tylko naśladują sposoby „książkowe” Kochana, ale również ganią się do czytania.

Aktywistom społecznym i gospodarczym wielką pomoc niesie IV etap konkursu czytelnictwa. Ale trzeba, żeby oni sobie zdali sprawę z wagi tej pomocy. Wszak Tezy Przedzjazdowe zrozumieli chłopcy jako wezwanie — i czują się w obowiązku dać gospodarską odpowiedź. Aby ją dać w każdej gminie, trzeba odnaleźć i wybrać właściwą drogę dla wydobycia rezerw w rolnictwie. Trzeba jasno wskazać co, ile, gdzie i kiedy. Nie można więc tylko mechanicznie korzystać z pomocy czytelnictwa rolniczych książek i literatury pięknej.

Aktyw gminny powinien wskazać bibliotekarzom, zespołom czytelnictwa, produkującym chłopom i GS-om zagadnienia rolnicze i społeczne, jakie w poszczególnych wsiach wysuwają się na pierwszy plan: te do rozwinięcia i te do pokazania. W ten sposób placówki czytelnictwa i najlepsi rolnicy dobierają będą lekturę najbardziej w miejscowych warunkach potrzebną do czytania, pogadanki, szkolenia, dyskusji.

Sięgamy po przykład z jednego tylko odcinka tego szerokiego frontu. W sklepach GS-ów chłopcy kupują broszury i książki. Nie często nieśięty takie, na jakie mają ochotę. Prawie zawsze rozpytują się, co jest ciekawego, co pożytecznego i... nie otrzymują odpowiedzi. W 12 sklepach GS w gminie Peim i Łętowni żaden kierownik nie chciał mnie poinformować o treści choćby jednej książki z tych, które sprzedają. A przecież kierownicy sklepów — to nasza wiejska inteligencja. Któż, jak nie oni, powinni pomóc chłopom w wyborze książek? GS nie może widzieć w chłopie tylko dostawcy i nabywcy. Bez pomocy dla producenta nie będzie dostawcy i nabywcy. Do żelaznych obowiązków GS zaliczyłbym poradę i reklamę co najmniej broszur i książek rolniczych. Do podstawowych zobowiązań po IX Plenum wpisałbym zadanie propagowania tych książek w sprzedaży, które w danej gminie najbardziej mogą być przydatne dla podniesienia rolnictwa i kultury wsi.

Ludwik Maj

Droga do światła

Kiedy z niewielką walizką dobiegłem do wsi Wierchowiska, leżącej niedaleko Częstochowy, sądziłem, że zatrzasnęła się za mną brama prowadząca do szerokiego świata. Smutna, opuszczona, jeszcze w 1950 roku wieś, gdzie w sposób dla mnie początkowo niepojęty spłatał się bigotyzm z alkoholizmem, nadmierną pobożnością ze skrajnym chuliganstwem.

Szkola była zaniedbana, dzieci nie miały pojęcia o dyscyplinie. Rządzący kiedyś zagłębili tu gminę i powiatowi aktywiści. A jeżeli tak się mimo wszystko zdarzyło — oglądali chłopcy kosztownego urzędnika, który przybył „po linii podatków”. Z innych „działaczy” najczęściej zaglądali tu ksiądz pleban, zwłaszcza w okresie koledy.

Nie do wiary, ale jeszcze w 1950 roku chłopcy w Wierchowisku nie oglądali ani filmu, ani teatru obywatelskiego. Myślę, że i dziś znakomita większość przedstawicieli starszego pokolenia nie wie co to jest film. Do roku 1947 ani jedno dziecko nie poszło stąd do szkoły średniej jakiegokolwiek typu. Do roku 1945 tylko dwóch mieszkańców gromady ukończyło 7 klas szkoły podstawowej.

Młodzież starsza i znaczna część gospodarzy spotykała się wieczorami w prywatnym sklepie, gdzie tego pito, grano w karty i śpiewano spróśne piosenki. Inna rozrywka kulturalna Wierchowisk — to zabawy taneczne, w czasie których wypijano nieprawdopodobne ilości alkoholu i krążyli się nożami.

Oczywiście nie brakowało w gromadzie uczciwych ludzi, lecz nie umieli oni podjąć walki o prawdziwe życie kulturalne wsi.

Cierpliwość jest to cecha, bez której żaden działacz kulturalno-oświatowy obejść się nie może. Trzeba powoli, obliczając pierwsze skutki na odległe miesiące, uporczywie realizować określony lokalnymi warunkami plan działania.

Przed wszystkim stworzyli nauczyciele w Wierchowiskach 6-klasową szkołę. Tak wysoko zorganizowanej szkoły nie było tu nigdy. Zyskało więc starsza młodzież, którą można zawsze umiejętnie wykorzystywać dla oddziaływania na środowisko.

Co należało uczynić, aby chłopcy wzięli się do książki? A trzeba wie-

dzieć, że wieś nie miała żadnej do-słownej biblioteki i prawie nikt z książek nie czytał. Droga do książki, do światła, była w warunkach tej opuszczonej gromady bardzo trudna. Należało po pierwsze zlikwidować analfabetyzm i aby zachęcić chłopów do poznania słowa pisanego, trzeba było równocześnie prowadzić szeroką propagandę książki. I te propagandy prowadziły niezwykle umiejętnie dzieci szkolne, przez tak zwane kąciki wieczornego czytania. Chłopcy czytali, ojciec początkowo mruczał, ale brały go powoli ciekawość fragmenty, później stary dopominał się o czytanie, wreszcie sam zaprzagnął czytać.

Analfabetyzm, jak to często bywa, związane w zespole czytelnictwa, który w maleńkiej świetlicy czytał wspólnie książki i gazety.

Nie do wiary, ale jeszcze w 1950 roku chłopcy w Wierchowisku nie oglądali ani filmu, ani teatru obywatelskiego. Myślę, że i dziś znakomita większość przedstawicieli starszego pokolenia nie wie co to jest film. Do roku 1947 ani jedno dziecko nie poszło stąd do szkoły średniej jakiegokolwiek typu. Do roku 1945 tylko dwóch mieszkańców gromady ukończyło 7 klas szkoły podstawowej.

Młodzież starsza i znaczna część gospodarzy spotykała się wieczorami w prywatnym sklepie, gdzie tego pito, grano w karty i śpiewano spróśne piosenki. Inna rozrywka kulturalna Wierchowisk — to zabawy taneczne, w czasie których wypijano nieprawdopodobne ilości alkoholu i krążyli się nożami.

Oczywiście nie brakowało w gromadzie uczciwych ludzi, lecz nie umieli oni podjąć walki o prawdziwe życie kulturalne wsi.

Cierpliwość jest to cecha, bez której żaden działacz kulturalno-oświatowy obejść się nie może. Trzeba powoli, obliczając pierwsze skutki na odległe miesiące, uporczywie realizować określony lokalnymi warunkami plan działania.

Przed wszystkim stworzyli nauczyciele w Wierchowiskach 6-klasową szkołę. Tak wysoko zorganizowanej szkoły nie było tu nigdy. Zyskało więc starsza młodzież, którą można zawsze umiejętnie wykorzystywać dla oddziaływania na środowisko.

Co należało uczynić, aby chłopcy wzięli się do książki? A trzeba wie-

ludowe, dowcipne, pełne społecznej treści gawędy ludowe. Ale równocześnie rzuciłem do walki ostatnią rezerwę — tych ZMP-owców, którzy trzymali się szkoły i swojej organizacji. Młodzieżowcy urządzali wieczorki towarzysko-rozrywkowe, na które zapraszali amatorów niezdrzonych sensacji. Chwyciło. Powstał chór, żywo oklaskiwany przez starszą część wsi. Wobec tego zapraszaliśmy byłych ZMP-owców i niezrzeszonych na nasze zebrania i „ogniska” harcerskie. I to chwyciło. Zyskaliśmy w sumie 15 nowych członków, co czyniło razem 25 ZMP-owców. Odtąd ten młody sztab ludzi, obok szkoły, stał się drugą poważną dzwignią życia kulturalnego Wierchowisk.

Zdajemy sobie sprawę, jak daleko nam jeszcze do produkujących współdzielonych wsi, gdzie działają specjalistyczne koła czytelnictwa, muczynowskie, przyjaźni Kraju Rad, gospodyń wiejskich. Nic takiego u nas jeszcze nie ma. Ale jest widoczne ożywienie kulturalne środowiska. Połączona młodzież harcerska i ZMP-owska obsługuje program artystycznym wszystkie uroczystości. Zespół dramatyczny pokazał już kilka udanych inscenizacji. W czasie jednego z przedstawień rzuciła młodzież hasło budowy nowej drogi i hasło to przyjęli chłopcy z ochotą. Droga, łącząca gromadę ze światem jest już w budowie.

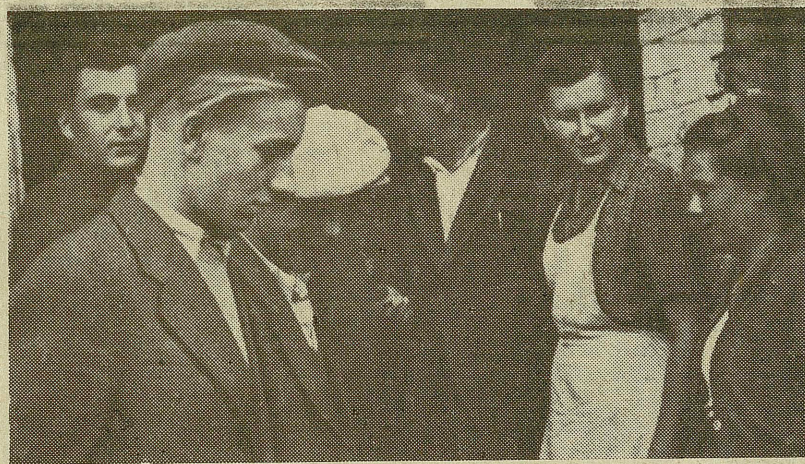
Nasza młodzież ma już wiele powodów do dumy, rośnie wśród niej zdrowy patriotyzm lokalny, zadowolenie z osiągnięć. Występy artystyczne na terenie gminy przysporzyły nam sławy i pieniędzy. Mówi się o nas w okolicy, co bardzo wszystkich chłopów cieszy i podnieca do dalszej działalności. Miejscowy aktyw gminny zaczyna innymi oczami na nas patrzeć. A partyz we wszystkim, gdyż wcale nam nie pomagał, nie wierzył w skuteczność naszej pracy.

Co sądzić o tych pieniądzach — wyposażaliśmy za nie naszą świetlicę, uruchomiliśmy w niej punkt biblioteczny, zakupiliśmy sprzęt sportowy i koszty dla naszych sportowców. Nie jesteśmy wsią produkującą, to prawda, ale jakież już daleko odlegliśmy od lat, w których jedyną atrakcją stanowiła wódka i karty w prywatnym sklepie. Sklepiek zresztą już nie ma.

Ryszard Kubat

HENRYK SZCZYRBA

Najpiękniejsze podglebie



Młodzież to najpiękniejsze podglebie, wspaniały nierzaw materiał, z którego dobry działacz kulturalno-oświatowy może uczynić bardzo wiele.

Bywa wszakże, że to podglebie jest zachwaszczone. Chwasty to chuliganstwo, wynikające najczęściej z braku należytej opieki, skłonność do kieliszka, lenistwo, bumelanctwo. Trzeba więc niekiedy twardej pracy nim owe chwasty znikną.

W Mysłowicach, niewielkim miasteczku górniczym, mieliśmy dwa takie mocno zachwaszczone pola. Jedno mieściło się w Brzezince. Brzezinka to przedmieście Mysłowic. Znaczna część mieszkańców tej dzielnicy trudni się rolnictwem, młodzież natomiast jeżeli się nie uczy, pracuje w kopalni „Mysłowice”. Brzezinka ma oczywiście dobre połączenie z resztą miasta, blisko stać do Stalinoogrodu, a jednak życie społeczno-oświatowe i kulturalne tej dzielnicy stanowiło do niedawna odstraszyły przykład — jak to mówią — na dzień się okolicznych wiosek.

Nie biorę pod uwagę dwóch świetlic przyfabrycznych. Istniały bowiem tylko na papierze. Natomiast musieliśmy brać pod uwagę poważnie prywatną knajpę, miejsce „zebrań” młodzieży. Tutaj nader wesoło spędzali młodzi robotnicy czas po pracy. W soboty i niedziele, bezpośrednio po wypłatach odbywały się nie lada „występy artystyczne”. Piosenki o „Titinie”, podpieranie słupów i drzewek, biatki — oto wcale bogaty repertuar kulturalnych rozrywek. Warto dodać, że panował tam swoisty lokalny patriotyzm. A wyrażał się w tym, że każdy z „obcej parafii”, który nie „pocpadi” chłopcom z Brzezinki, wracał stamtąd bez kilku zębów, lub conajmniej okładał opuchnięte miejsce woda burową. Najgorszą część Brzezinek, nazywaną Łaryszkami, znała wieś bardzo szeroko w całym mieście i poza nim.

Nasza szkoła ruszyła z zapalem na Brzezinkę. Uzgodniliśmy z przedstawicielami ZSCh i miejscowymi nauczycielami, że będzie to „wieczorek taneczny”. Zeszła się spora gru-

pa „bohaterów” Brzezinki. W przerwach pomiędzy tańcami demonstrowaliśmy dowcipne skecze, obrazując dotychczasowe życie Brzezinki. Przyjmowano je różnie. Jedni klaskali, i to byli nasi sprzymierzeńcy, inni gwizdali z cichych sił.

A pewna grupa młodzieży odprowadziła nas, prosząc nasz zespół na następną sobotę. Prawdę mówiąc, zaproszenie to zawdzięczaliśmy przede wszystkim naszym koleżankom, wśród których nie brakowało ładnych dziewcząt. No ale pierwsze lody zostały przełamane. Przyjeżdżaliśmy co sobotę przez kilka miesięcy. Mieliśmy jasny plan działania. Polegał on na tym, że powoli, lecz konsekwentnie przemienialiśmy nasze potańcówki w wieczory dyskusyjne i artystyczne. Dawaliśmy coraz więcej inscenizacji, uzyskaliśmy wreszcie to, że pierwsi łaryszacy zaczęli brać udział w pracach przygotowawczych do następnych imprez. Ostatecznie przecież wystawili oni przy naszej pomocy fragmenty z „Młodej Gwardii”, „Ojczyzny” i „Matki”.

Świetlica A-16 ożywiła się. Zdołaliśmy zgromadzić wokół niej sporą grupę młodzieży, dawnymi bywałymi karczem, skupiliśmy tu aktywność samopomocową i nauczycielską. Mimo to nie zawsze jest jeszcze bezpiecznie spacerować po zmierzchu po Łaryszkach. Pewna część najbardziej zagorzałych chuliganów, stawia nam nadal opór. Sprawa jest więc jeszcze nieskończona...

Drugie takie zachwaszczone pole to Dom Młodego Górnik w Mysłowicach.

Pracę na tym terenie rozpoczęła nasza młodzież od gruntownej analizy sytuacji. Mieszkańcy DMG pracowali wszyscy w kopalni węgla „Mysłowice”. Byli to w olbrzymiej większości przodownicy pracy, a więc chłopcy zarabiający bardzo dobrze. Wynikało z tego, że mieli wszelkie szanse na to, by żyć kulturalnie. Stało się inaczej dlatego, że Dom Młodego Górnik pozabawiony był należytej opieki. Chłopcy nudzili się, że zarabiali dużo pieniędzy, łatwo stacali się w objęcia pijanstwa, Kierownictwo Domu

pełne najlepszych chęci, nie posiadało jednak doświadczenia „pedagogicznego”. Koło ZMP przy DMG spalo, Zarząd Miejski wcale nim się nie interesował. Pijackie wybruki, zaczepianie dziewcząt i przechodniów, wybijanie szyb, urobili o DMG złą opinię. „Daje im państwo pieniądze na wódkę, a chacharowi zażywa mleczka dać i niankę z tegim kijekiem”.

Szkola nasza zajęła się Domem Młodego Górnik na prośbę Komitetu Miejskiego Partii.

Nasze kontakty rozpoczęliśmy od wspólnych rozrywek sportowych. Pozwalaliśmy górnikom nawet wygrywać, ale spotkania te początkowo nie cieszyły się wielkim powodzeniem, przysporzyły nam natomiast wiele kłopotów. Poszło znowu o dziewczęta, którymi mieszkańcy DMG żywo się zainteresowali. Włóczyli się za nimi, „pienia miłosne” trwały pod domami dziewcząt do późnej nocy.

W dalszym ciągu organizowaliśmy wspólne rozrywki sportowe. Ale równocześnie rozpoczęliśmy pracę w kole ZMP. W ten sposób pozyskaliśmy sobie dość liczną grupę młodych górników, z którymi zaczęliśmy organizować pierwsze na terenie DMG wieczory artystyczne. Początkowo szło jak z kamienia. Musieliśmy się niekiedy chwycić dosyć ostrych środków działania. Na pierwszy wieczorek nie zaprosiliśmy tych mieszkańców Domu, którzy chuliganili nadal. Przy drzwiach wejściowych stał aktyw DMG i ściśle przestrzegali, by na sale dostawali się jedynie zaproszeni. Wybuchły awantury, bójki jednak nie było. Tego rodzaju chwyt niezbędny wychowawczy przyniósł jednak pożądany skutek. Młodzież wolała jednak artystyczny wieczór, pełen humoru i śmiechu niż piątkie wybruki. Nastąpiła wyraźna poprawa atmosfery na terenie Domu.

Przeszliśmy więc na wyższy etap działalności. Chodziło nam z kolei, by młodzi górnicy zasmakowali w stałym czytaniu. Spróbować przeprowadzić dyskusję. Zaczęliśmy od filmów, często nawet nie najlepszych, przeszliśmy następnie na książki.

Wiele radości sprawił nam fakt, że niektórzy górnicy poczęli kupować książki.

Czy oznacza to, że zdobyliśmy już młodzież z DMG? Na pewno nie. Odkryliśmy natomiast sposób na chwałę. Młodzież pozabawiona opieki, godziwej rozrywki kulturalnej, z tego najczęściej względu schodzi na manowce. Ale wystarczy zapalić ją do dobrej książki, ukazać wielkie możliwości wyzycia się w amatorskim zespole artystycznym i dobrze pojętym sporcie, a staje się nasza.

Nie skończyliśmy jeszcze pracy ani na Łaryszkach ani w DMG. Jedno jest pewne, że już nie przerywamy, że powstanie tam samodzielny aktyw kulturalny, który sam z kolei ruszy na zachwaszczone pola.

Henryk Szczyrba

PIOTR GUZY

BIAŁA PLAMA

GMINA Brzeźno leży zaledwie kilka kilometrów od Konina — stolicy powiatu, który w III etapie konkursu czytelnictwa zajął II miejsce w Polsce. Powiatu, w którym znajduje się jeden z obiektów Planu 6-letniego: kopalnia węgla brunatnego, w którym na każdym prawie miejscu dostrzeżać można, przekształcające rzeczywistość rezultaty ustroju socjalistycznego. Zle jednak było, gdyby spojrzenie mieszkańców Brzeźna nie sięgało dalej niż Konin. Żyjemy w państwie podnoszącym się szybko z wiekowego zacofania. Szkoły — począwszy od najniższych do najwyższych — stoją otworem dla młodzieży wiejskiej. Tragedia Janka Muzykanta należy do bezpowrotnej przeszłości. Zespoły artystyczne na wsi wychowują kadry przyszłych artystów.

O tym wszystkim głucho w Brzeźnie. Mimo, że tuż za granicą gminy, w Żeronicach (pow. Turek) istnieje jedna z najpiękniejszych świetlic w Polsce. Wystarczyłoby wyciągnąć rękę, by stamtąd czerpać doświadczenia. Nikomu w Brzeźnie nie przyszło to jednak do głowy.

Brzeźno liczy 24 gromady i około 4000 mieszkańców. Zamówienie więc na dobra kulturalne powinno być duże. Prezydium Gminnej Rady Narodowej jednak tego nie odczuwa. W całej gminie znajduje się zaledwie jedna świetlica. W samym Brzeźnie. Była swego czasu świetlica również w Borowie, ale oddano ją na mieszkanie prywatne. Dlaczego tak się dzieje? Postawiliśmy pytanie Prezydium GRN. Różne padły odpowiedzi: że brak lokali, że może by się i znalazły lokale ale funduszy nie ma. Wreszcie, że brak odpowiednich ludzi.

Jest (a jakże!) w Brzeźnie i gmina biblioteka. Są poza tym punkty biblioteczne... aż w 7-miu gromadach (w Szczepidle, Głodnie, Paprotni, Krzymomiu, Kałku i Adamówku). Czyli jeden punkt biblio-

teczny przypada na przeszło trzy gromady. Stanowczo za mało. Czekając aż czytelnicy sami wyciągną rękę po książkę? Trzeba, na odwrót, ruszyć z książką do czytelnika.

Cóż jednak mówić o gromadach, jeśli w samym Brzeźnie nie jest najlepiej! Na przeszło 1000 mieszkańców tylko 199 są członkami biblioteki. I to przeważnie młodzież. Starszych czytelników miejscowy bibliotekarz z trudem doliczył się 35.

A teraz książki. Jest ich około 1600 tomów, z tego 800 jeszcze „nie opracowanych”, tzn. nie oprawionych, nie wciągniętych do katalogu itd.; na razie są więc jeszcze niedostępne dla odbiorcy.

Czasami kino objazdowe zahaczy o Krzymów, ale od jesieni ub. roku nie przyjeżdża ani razu. A jak już przyjedzie, to przeważnie bez uprzedniego zawiadomienia, przez co frekwencja jest słaba i ogranicza się z konieczności do najbliższych mieszkańców.

O „Artosie” w gminie nikt jeszcze nie słyszał.

A teraz przyczyny.

W prezydium nikt nie mógł nam powiedzieć, kto prowadzi referat kulturalny. Podobno sekretarz. Ale sekretarz był akurat nieobecny. Największa wina za zaniedbanie kulturalne gminy spoczywa niewątpliwie na prezydium GRN. Nawet o świetlicę gminną nikt nie dba, uważając ją za coś, co istnieje, ale „to już nie nasza sprawa”. Grunt, że by było gdzie urządzić akademie z tej czy innej okazji. A to, że w świetlicy okna są nieszczelne, że jeden piec nie wystarcza na opalenie pokójnej sali — nikomu już snu z powiek nie spędza.

Jeśli taką „opieką” GRN otacza świetlicę tuż pod bokiem, czyż można się dziwić, że gromadzie traktuje z jeszcze większym niedbalstwem? Urzędnikom GRN, nie przyszło na myśl zwrócić się do Wojewódzkiego Zarządu Kin by uwzględnił gminę w swoich planach.

Piotr Guzy

SEKRETARZE

(Dalszy ciąg ze strony 4)

nej. We wsi, w której jeszcze nie tak dawno szło wszystko utartym od lat porządkiem, wytworzył się taki zamęt, tyle od lat leżących uprzedzeń, nienawiści wypłynęło na wierzch, że początkowo trudno było się rozeznaczyć, kto jest czym wróg, a kto przyjacielem.

Kobiety nie wpuszczały do chat mężów, ojcowie wyklinali synów, synowie wyrzekali się ojców, a wszystko to z powodu różnicy zdań na temat zespolej gospodarki. Gromadę obróbił trudny do przebięcia gąszcz plotek. Widziano działo proszalnicy — pierwszych od lat — którzy przepowiadali koniec świata, nadejście antychrysta i rozwojili się żłośnie nad biedą i głodem w kołchozach, z których, przed tygodniem w cudowny sposób uciekli.

W przeddzień egzekutywy Komitetu Powiatowego, na której miała być rozpatrzona sprawa Krawczyka, przebiegła przez Zreby wiadomości: sekretarz gminny partii za bezprawne zakładanie spółdzielni produkcyjnej został wezwany do powiatu i podobnie, jak jego poprzednik Śliwiński, już nigdy w te strony nie wróci, a wszyscy ci, którzy mu pomagali zakładać kołchozy, pójdą razem z nim na długie lata do więzienia. Podobny los czeka tych, którzy już podpisali deklarację do spółdzielni.

Krawczykowski przez cztery miesiące wyteżonej pracy udało się rozruszać miejscową organizację partijną; najbardziej aktywni spośród partyjniaków, stanowili razem z Krawczykiem i Zabolockim główni trzon agitatorów spółdzielczości. Zebrał już osiemnastu podpisów na deklaracjach członkowskich. Spośród tych osiemnastu wielu było takich, którzy po dwa, a nawet i cztery razy podpisywali, a później wycofywali deklarację pod naciskiem żony, ojca lub sąsiada.

Soltys ze Zreby, Wojciech Zieliński, przez cały czas najgłośniejszy i najgorliwiejszy ze wszystkich przytaczał wywodom Krawczyka o wyższości zespolej gospodarki. On też pierwszy w Zrebach podpisał deklarację. Dla przykładu. Zieliński miał w Zrebach dużą rodzinę i rzeczywiście przykład sółtysa się przydał. Szesciu jego szwagrow, braci i innych krewnych zrobiło to samo. Teraz, kiedy rozszedł się po gromadzie o ukaraniu Krawczyka, Zieliński obszedł wszystkich tych, którzy podpisali już deklarację i całym autorytetem urzędowej osoby potwierdzał prawdziwość wiadomości, doradzał wycofanie podpisów, a bardziej zaufanym oświadczał wierność, że on, Wojciech Zieliński wychwał spółdzielczość, bo musiał tak mówić z rozkazu Krawczyka, ale dobrze wiedział od początku, że to wszystko razem jest kant i gruszek na wierzbie.

Po wieczornych rozmowach i nocnych naradach zwołali się chłopcy do Oleszaka, u którego złożone były wszystkie deklaracje. Domagali się zwrotu deklaracji. Oleszak jak mógł wykręcał się od decyzji, potem udało się mu jakoś zmylić obiegających go w domu podnieconych i złych sąsiadów, którym przewodził sółtys i pobiegł do Zabolockiego po radę, ale ta też nie wiedziała, jak postąpić i odesłała go do Krawczyka, do Łazca...

Oleszak nie zastawszy sekretarza w biurze, zaszedł do domu, a tu od podenerwowanej i zaniepokojonej Franciszki dowiedział się tylko tyle, że ubiegłego wieczoru Krawczyk został telefonicznie wezwany do powiatu i — jak zapewniał wyjeżdżając — wróci albo w nocy, a najpewniej dopiero nazajutrz rano.

Próbował Franciszek wyelagnąć na rozmowę, czy kobieta aby czego nie wie o powodach wezwania męża do powiatu, a jako człowiek w świecie otwarskany i raczej sprytny, zaraz po niechętnych odpowiedziach, zmieszaniu i płaczliwych tonach w głosie polapał się, że Krawczykowa wie, ale nie chce powiedzieć. Już otwierał usta, by wygrać wyświadek, co na temat nagłego wyjazdu sekretarza mówią w Zrebach, a tym samym zmusić Franciszkę do wyjawienia prawdy, kiedy ktoś zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł do izby. Oleszak odwrócił się i omiamał.

W drzwiach stał Śliwiński, poprzedni sekretarz Komitetu Gminnego partii w Łazcu, który według powszechnej w Zrebach opinii od pół roku siedział na długie lata zamknięty w więzieniu.

Zakończenie w następnym numerze.

Wiesław Nowakowski

Z wypowiedzi nadesłanych na Konkurs Czytelniczy

Książka ucząca czujności

Jestem rolnikiem na trzech ha. Urodziłem się w roku 1903. Stale mieszkam w rodzinnej wsi Gać, w powiecie Przeworskim. Poruszyła mnie wasza zachęta, więc po przeczytaniu książki, która najbardziej mną wstrząsnęła, chciałem się podzielić wrażeniami.

To, co powiem, nie jest głośnawym, bo za wzorowe wypełnienie obowiązków względem państwa co roku otrzymuję dyplom uznania.

Kto za życia naszego pokolenia spowodował dwie wojny światowe? Kto przez całe wieki narzucał ludowi niewolę i wojnę? Kto wycałował krwawy pot z ludu, morze łez i krwi? Kto był sprawcą jego bezgranicznej krzywdy? Tyrani-bogacze po spotu z wstecznym klerem, który ogłupiał lud i konserwował ciemnotę i zabobon, aby opóźnić w nieskończoność wyzwolenie mas ludowych.

Takie były pierwsze moje myśli po przeczytaniu książki Szpanowa „Podległość”. Autor ukazuje kulisy przygotowań do drugiej wojny światowej, podaje fakty i opisuje zdarzenia. Widzimy potwornych morderców dziesiątków milionów niewinnych ludzi pracy, których zabito w wojnie; ludzi, którzy pragnęli żyć, kochać i tworzyć nowe życie...

Szpanow ukazał w swej powieści całą ohydę ustroju kapitalistycznego, jak w jego gnijącym klimacie rodzi się klika morderców ludzkich.

Czy szatani tego świata mają nadal odprawiać ponure korowody, ślać nienawiść między narodami, wywoływać mordy, pożogi i wojny?

Książka Szpanowa „Podległość” demaskuje w całej pełni szakali w ludzkim ciele, których rodzi wielki kapitalizm Zachodu... „by na krwi ludzkiej i nędzy wojennej” zarabiał nowe miliardy dolarów.

Przez dwadzieścia lat międzywojennych oszukiwano nas hasłem gwarancji utrzymania niepodległości; przez dwadzieścia lat trula nas sanacja jadem nienawiści do bratniego narodu radzieckiego. Ustrój socjalistyczny przedstawiano w prasie, jako obraz niewolnictwa mas ludowych, by nie dopuścić do nawiązania braterskiej współpracy dla wyzwolenia się ludu z niewoli kapitalizmu i wejścia na drogę tworzenia naprawdę niepodległego bytu narodu polskiego...

Ogłupia nas kultura Zachodu, przy pomocy Watykanu. „Polsko, zguba twa w Rzymie”. Słowa te do dzisiaj mają dla nas swą wymowę i znaczenie. Ale naród polski przetrwał. Przeżył sto pięćdziesiąt lat w niewoli satrików, cesarzy, straszliwą noc okupacji hitlerowskiej, która niosła zagładę biologiczną narodowi.

Zebrał przez Szpanowa dokumenty świadczą, że przez mord, krew, łyzy matak i wdów dano Hitlerowi władzę nad narodem niemieckim, aby podpalił świat i stał się katem dla sąsiednich narodów.

Autor przepięknie opisał tęsknotę żołnierza radzieckiego na ruinach Berlina, wyrażającą wielką moc sił duchowych ludu pracującego. Z tych to sił idzie odrodzenie świata.

Żołnierz długo patrzył w skupieniu. Zdawało mu się, że widzi wszystkie drogi i szlaki wojny, którymi szedł w ciągu czterech lat nad brzegi Włgi, cierpienia i niedole ludu radzieckiego, rany i krew, łyzy, śmierć i nienawiść, która przyprowadziła go do legowiska najeźdźcy. Patrzył i w ten dzień zwycięstwa już tęsknił do swej rodzinnej wsi, do własnej ojczyzny, do pokoju, do twórczej pokojowej pracy.

W tragicznym wrześniu w roku 1939, gdy krwawy najeźdźca palił, mordował i deptał nasz naród i naszą ukochaną ojczyznę — już wtedy oczy nasze patrzyły na Wschód, wypatrując ratunku i ocalenia narodu przed zagładą. Lud instynktownie wyczuwał, że obrona przyjdzie tylko od bratnich narodów radzieckich...

Z Zachodu groziły naszej ojczyźnie mord, pożoga, krew, łyzy, morze cierpień i krzywd. Przy błogosławieństwie Watykanu, Polskę, która przez wieki była najwspanialszą córką kościoła, z lekkiem sercem wydano na śmierć i a mordercę błogosławiono.

Oczy ludu polskiego, który odzyskał swą niepodległość i jest odpowiedzialny za losy Polski Ludowej, z nadzieją i ufnością patrzą na Wschód. Bo czujemy to samo, co żołnierz radziecki i jego naro-

dy: pragnienie pokoju, braterstwa, miłości i szczęścia. Nienawidzimy fałszu, obłudy, wyzysku, krzywdy ludzkiej. Nienawidzimy ciągłego organizowania wojen napastniczych, w celu odebrania drugiemu narodowi wolności, dóbr materialnych oraz wyniszczenia ludzi. Nienawidzimy tych, co chcą panować nad światem, dysponować milionami dla własnych egoistycznych korzyści. Nienawidzimy kliki kapitalistów.

Szpanow w obiektywny sposób podaje zdarzenia, które doprowadziły do drugiej wojny światowej. Jego książka umocniła we mnie wiarę w siły obozu pokoju i zdecydowaną wolę wkładania największego wysiłku w twórczą, pokojową pracę, by przyczynić się do stworzenia potęgi naszej ukochanej ojczyzny ludowej: żeby wróg już nigdy nie mógł deptać naszej świętej ziemi.

W historii swej Polska nie miała tak mądrego kierownictwa, jak obecnie. Przyszłe pokolenia błogosławić będą nasz dzisiejszy trud.

Przedownictwo klasy robotniczej doprowadzi nasza ojczyznę do rozkwitu i utrwali jej znaczenie między narodami milującymi pokój. Osiągniemy to naszą pracą, zjednoczonym wysiłkiem całego narodu — świadomi wielkiego celu, w gorącym pragnieniu pokoju i braterstwa między narodami.

Gdyby można było stworzyć film popularny — coś na sposób książki Szpanowa — jak się rodzi czy powstaje wojna, przyczyniłoby się to ogromnie do oświecenia szerokiej mas pracujących miast i wsi.

Bo jak mówił kiedyś Lenin — trzeba pokazać ludziom na przykładach, jak wielką tajemnicą otoczone jest powstawanie wojen... Podległość boją się, by lud świata nie dowiedział się prawdy.

Franciszek Foltka
Gać, pow. Przeworski

Mal. W. Jabłoński

„POCZĄTKU OPowieści” CIĄG DALSZY

WEZWANIE do pełnienia służby w brygadzie SP zaskoczyło mnie. Szczególnie, że od dwóch miesięcy zaczęłam już pracować. Chciałam się więc od tego obowiązku uwolnić. Bo ostatecznie — tłumaczyłam sobie — pracuję. Czyż więc nie wszystko jedno gdzie?

— Te brygady to nie dobre go strata zdrowia — mówili ci i owi... Nie zaplaka, jeśli jak należy nie dać, a i ubrać też was dostatecznie nie ubiorą.

Komendant gminny SP powiedział, że pojedziemy do Nowej Huty. O Nowej Hucie wiedziałem, że ma to być wielki kombinat hutniczy pod Krakowem i że miasto buduje młodzież.

Nowa Huta oszłomila nas swoją wielkością. Przyjął hukiem pracy tysięcy ludzi, nieznanymi nam dotychczas maszyn, koparek, spychaczy, zgarniaczy. Witała nas wyciągniętymi w górę rękami potężnych i majestatycznych dźwigów.

Zlecono nam przez majstrów pracę nie była łatwa i lekka. Szczególnie ciężko było w czasie deszczów, kiedy grunt pod nogami zamieniał się w błoto. Nie można było liczyć na lepsze owoce naszej pracy. I wtedy przyszła nam z pomocą książka. Książka właśnie o Nowej Hucie — „Początek opowieści” Mariana Brandysa. Siega ona w przeszłość. Przedstawiła mi oczyma początki powstania Nowej Huty — i może dlatego znalazłem ją tak interesującą. Zbliżyła i zapoznała mnie z nowo hutniczym problemem. Tłumaczyła jego wielkość i epokowe znaczenie oraz wiele powodów zrozumienia wielu innych zagadnień i zmian, jakie zachodzą w naszym społeczeństwie, budującym socjalizm. Całkowicie pojąłem słuszność budowy kombinatu zakrojonego na taką szeroką skalę. A ta słuszność polegała na tym — mówi książka — że budowa Nowej Huty jest koniecznością dla zbudowania socjalizmu, czyli dla zapewnienia bytu i stworzenia szczęścia milionom masom chłopów skłębionych i robotniczych mas.

Wskazał autor w tej książce na idee i cele socjalistycznej pracy i ukazał je takimi, że chciało się



Orka to również polityka

PRZY czytaniu broszurki W. R. Williamsa „Lenin o żyzności gleby” nie mogłem oprzeć się uczuciu wielkiego podziwu i satysfakcji. Z jaką bowiem wyraził się w tej broszurce znajomość moich własnych myśli! Jest to wielki zaszczyt i radość dla prostego człowieka, gdy może stwierdzić, że znalazł się właśnie na tej samej drodze w swojej pracy i dociekaniach z tytanami nauki całego świata.

Bo oto czytam broszurkę wielkiego naukowca, przytaczającego myśl wielkiego wodza Rewolucji. Myśl że urodzajność gleby nie tylko może się nie zmniejszać, ale może być stale zwiększana. Że, jak fałszem jest myślenie przez „apostolów” kapitalizmu „prawo” Malthusa o „przeludnieniu”, tak fałszem jest „pewnik”, że wydajność gleby musi się wyczerpywać — i na to nie ma żadnej rady.

Lenin wykazał — stwierdza Williams — „że w rolnictwie człowiek nie jest niewolnikiem praw przyrody... — poznając przyrodę i jej prawa, człowiek może regulować tempo i kierunek procesów przyrodniczych i przekształcać je w sposób dla siebie korzystny...”. I nie tylko Lenin to wykazał, a Williams w doświadczeniach potwierdził, że skromny działakowiec — na chudej ziemi również to sprawdził. A, że mogę w dzisiejszych czasach opisać to dla dobra ojczyzny — Polskiej Ludowej i dla zainteresowanych ludzi Dobrej Woli nawet poza granicami mojej drogiej Ojczyzny — to mnie szczególnie uszczęśliwia. A jak bardzo raduję się czytam w broszurce słowa, potwierdzające to, do czego doszedłem świadomą pracą: że moja ziemia, choć od lat wielu nikt tu nie widział zasłanianą jej obornikiem — już tylko dzięki wykopywaniu i przysypaniu traw staje się coraz bardziej urodzajna. I wcale nie muszę myśleć o dokupieniu obornika, gdyż dżalce nie brak próchnicy. Raczej z tej, użytkowanej od kilku lat ziemi, starczyłoby na zasłanianie innych, choćby najchudszych odłogów, zwanych nieustannie „nieużytkami”. Dla mnie nie ma żadnych nieużytków! Bo nawet tam, gdzie grozi nadmiar wody, próbuję jej szkodliwość przemienić na korzyść. A to przez uczynienie składów jak najbardziej chłonnymi, przeważnie podczas upraw przedzimowych. Bo w pracy rolnej trzeba najbardziej brać pod uwagę... „podstawowe czynniki życia roślin: światło, ciepło, pokarm i woda”... i je wykorzystywać.

Oczywiście, nie na tym tylko polega moje szczęście, że ja to rozumiem i potrafię osobiście wyciągnąć większą korzyść. Nie. Porywające jest to, że uświadamiam sobie otwartą drogę dla pochodzącej socjalistycznej wiedzy. Cieszę się na myśl — ile tysięcy ton wody więcej będą mogły wchłoniąć wszystkie zagony chłopskie, jeżeli w skali masowej zastosuje się głęboką uprawę przedzimową. I w jakim stopniu wpłynie to na zmniejszenie gróźb powodzi i wylewów wiosennych, na ile zapobiegnie katastrofalnej suszy w czasie wzrostu roślin.

Porywające jest wskazanie Williamsa o „przywracaniu glebie” jej części składowych... Gdy w kapitalistycznym ustroju „miasto grabi wieś pod względem rolniczym...” przez „...zabieranie pokarmu roślin z pól do miasta...” wyrzucanie ich do morza... niszczenie kawy i pszenicy w Ameryce... — to w naszych socjalistycznych stosunkach produkcji ta ważna rezerwa produkcyjna, jaką stanowią nawozowe odpady mięsne, może być wykorzystana w większym zakresie niż dotąd — dla bogacenia kraju, dla likwidowania „nieużytków”.

Jakże godna staje się nasza praca rolnika, skoro w swej broszurze Williams powtarza za Leninem, że „orka to również jest polityka, gdyż zagadnienia walki o podwyższenie żyzności pól są to najważniejsze zagadnienia teorii i praktyki budownictwa socjalistycznego...” Jak wspaniale i wyraźnie odróżnia to hasło lekturę naszych czasów — od tamtych sprzed kilkunastu lat, kiedy wybieganie myślą poza własną mieczkę było strzeżone, jak oko w głowie, żeby broni Boże nie łaziły oświaty z polityką. Toteż śpieszyliśmy z gorzką ironią takie kuplety jak np. ten:

„Obiecał ksiądz chłopu
grzeszną duszę zbawić,
żeby się nie wazył
w politykę bawić,

Więc od polityki
chłopot postuszenie stronit,
zaczem pan Mościcki
Polskę prze- OZONIL

Opisaną broszurkę Williamsa „Lenin o żyzności gleby” kolportuje w wielu egzemplarzach na wsi. A kolportowanie tego, co się przeczytało samemu, i co umie się pokazać własnoręcznie — jest najskuteczniejszym kolportowaniem.

Antoni Włodarczyk
Prażki, pow. Brzeziński
woj. Łódź.Władysław Bońkowski
WołominNie sam
i nie samotny

Czytałem już wypowiedź drukowaną we „Wsi” o powieści Borysa Polewoja. I mnie ta książka najbardziej wzruszyła. Ale z innych trochę powodów, niż W. Skoka z pow. Augustów...

Skok widzi w „Opowieści o prawdziwym człowieku” tylko samego Mieriesiewa. Oczywiście, główny bohater uczy, jak należy kochać ojczyznę i jak nienawidzić wrogów, którzy prowadzą wojny niesprawiedliwe, wojny zaborcze. Mieriesjew uczy nas wiarę we własne siły, przekonywa, że nie ma rzeczy niemożliwych do osiągnięcia. Ma silną wolę, hart ducha i nie zalamuje się w najtrudniejszych, nawet w beznadziejnych sytuacjach.

Ale czy taki jest tylko sam Mieriesjew? Czy tylko on tak postępuje? Gdyby tak było Mieriesjew nie stałby się dla nas wzorem do naśladowania, bo zabrakłoby szczytów, po których można by się wspinać ku tej doskonałości. By zabrakłoby świata ludzi jemu podobnych. A bez takiego świata niezwykły bohater byłby tylko wyjątkiem.

Mnie porwał i przekonał Mieriesjew dlatego, że otaczają go tacy towarzysze, jak Sierozka i Fiedka, dziad Michajło, Warwara i Wasylucha, „sierżant meteorologiczny”, Ania i Ola, komisarz i major Struczkow; wszyscy oni dają nam wzór do naśladowania, wszyscy są bohaterami, wszyscy ukazują prawdziwy cel życia.

Dla Waleriana Skoka w życiu Mieriesiewa najważniejsza — jak mi się wydaje — jest siła woli, siła, pozbawiona sentymentu i uczuciowości. A przecież kiedy prawie umierając Mieriesjew wysłuchał śpiewu Warwary, ostatnim wysiłkiem sięga po listy od matki i Oli, wspomina radosne lata przedwojenne i wzrusza się bezmiernie. A czy nie tak samo bywa z Anią i Olą, z komisarzem i dziadem Michajłem?

W „Opowieści o prawdziwym człowieku” widzimy w wszystkich bohaterów wzór, jak należy postępować nieustępliwie, jak pracować i walczyć twardo, jak nienawidzić wroga śmiertelnie, równocześnie godząc ten wzór z bogactwem i ciepłem uczuć dla przyjaciół, z uśmiechem i marzeniem.

Dziad Michajło, kiedy mówi o Mieriesiewie „wielkiego to czynu człowiek” — wszystkie te wartości razem ma na myśli.

Wielka siła uczuć i wielki hart ducha czynią, że w stosunku Oli do Mieriesiewa, czy Anin do Gwozdienia widzimy prawdziwą miłość. „Bo oż to za miłość co się lęka ofiar?” — jak mówi autor.

Walerian Skok (z pow. Augustów) wziął sobie za wzór Mieriesiewa. Tym wzorem jest dla niego „wyleżona praca nad samym sobą”, i w wyniku... tylko dla siebie samego. Zabrał się do czytania gazet rolniczych i podniósł gospodarkę, zapisał się na kursy korespondencyjne — i łączy pracę fizyczną z nauką. Ale w powieści Polewoja „praca nad sobą” nie jest samotna. Otacza go przecież opieka i pomoc towarzyszy. Kiedy zapada decyzja amputacji nogi, kiedy wydaje się, że Mieriesjew nie wytrzyma i zalamie się, jego współtowarzysze w szpitalu z komisarzem na czele wzniciąją w nim nadzieję na powrót do lotnictwa... latania nawet bez nog. Czytając mu fragmenty z powieści „Jak hartowała się stal” i naprowadzając na wielką decyzję. Jakże przepiękny to przykład solidarności i przyjaźni ludzi radzieckich! Jakże piękny wzór kolektywnego przełamania wszelkich trudności, jakie napotyka każdy z nich! A czy Mieriesjewowi nie pomaga przykład prof. Wasyl Wasyliewicza, który po stracie jedynego syna, nie zalamuje się?

„Praca nad sobą” inny ma sens, kiedy się ją podejmuje w oduwaniu od ludzi, od gromady, od kolektywu. Jest trudniejsza i bardziej w suych celach i treści ograniczona.

Od towarzyszy na froncie czerpał Mieriesjew wspólną miłość do ojczyzny, wspólny cel walki i bohaterstwa.

Chciałbym zapytać Waleriana Skoka, czy by nie zgodził się z moimi uwagami? I czy by nie napisał, jak to z nim było w okresie czytania gazet rolniczych? Czy nie pomyślał o tym, żeby czytać i dyskutować je w zespole? Żeby wymienić doświadczenia, zyskując w ten sposób jeszcze większy bodziec dla podniesienia swej gospodarki. I szerszy cel tego czytania, skoro by widział, że wielu innych chłopów czyni to również — i wspólnie się wspierają — podnosi rolnictwo w całej gromadzie Gromadę wysuwa w gminie i w powiecie.

A kiedy uczy się na kursach korespondencyjnych — czy „pracując nad sobą” — wydaje mu się tylko jego własną sprawą? Czy w jego wsi Wciokla nie znajdują się ludzie, dla których będzie to solą w oku? Czy nie ma takich, którzy po tej nauce oczekują od Skoka większej pomocy w pracy społecznej dla gromady? Czy w tej nauce nie widzi środka dla szerszego celu? Tak jak Mieriesjew doszedł siłą woli i ciężkich wysiłków do chodzenia (choć stopy miał odciete) — nie dla samego chodzenia lecz by powiedzieć na front, do walki za ojczyznę, jeszcze mocniejszy, jeszcze dzielniejszy.

Jan Wytrykasz
wieś Brynica pow. Tarnowskie Góry

Po'skie Radio i Redakcja tygodnika „Wies”

z dnia 1 lutego ogłoszono

Konkurs

dla wiejskich czytelników książki
pod hasłem

„Piszę o książce, która dała mi najwięcej wzruszeń i korzyści”.

Konkurs trwa do 31 marca b. r.

W miarę nadsyłania wypowiedzi Polskie Radio i Redakcja „Wies” ogłasza wybrane wypowiedzi.

Słuchajcie je w Radio, czytajcie we „Wsi” i nadsyłajcie wypowiedzi na adres tygodnika „Wies” i Polskiego Radia.

Za najlepsze wypowiedzi przewidziane są nagrody:

Nagroda I — 1.000 zł, Nagroda II (trzy) — po 750 zł,

Nagroda III (pięć) — po 500 zł

oraz 500 książek dla wyróżnionych w Konkursie.

